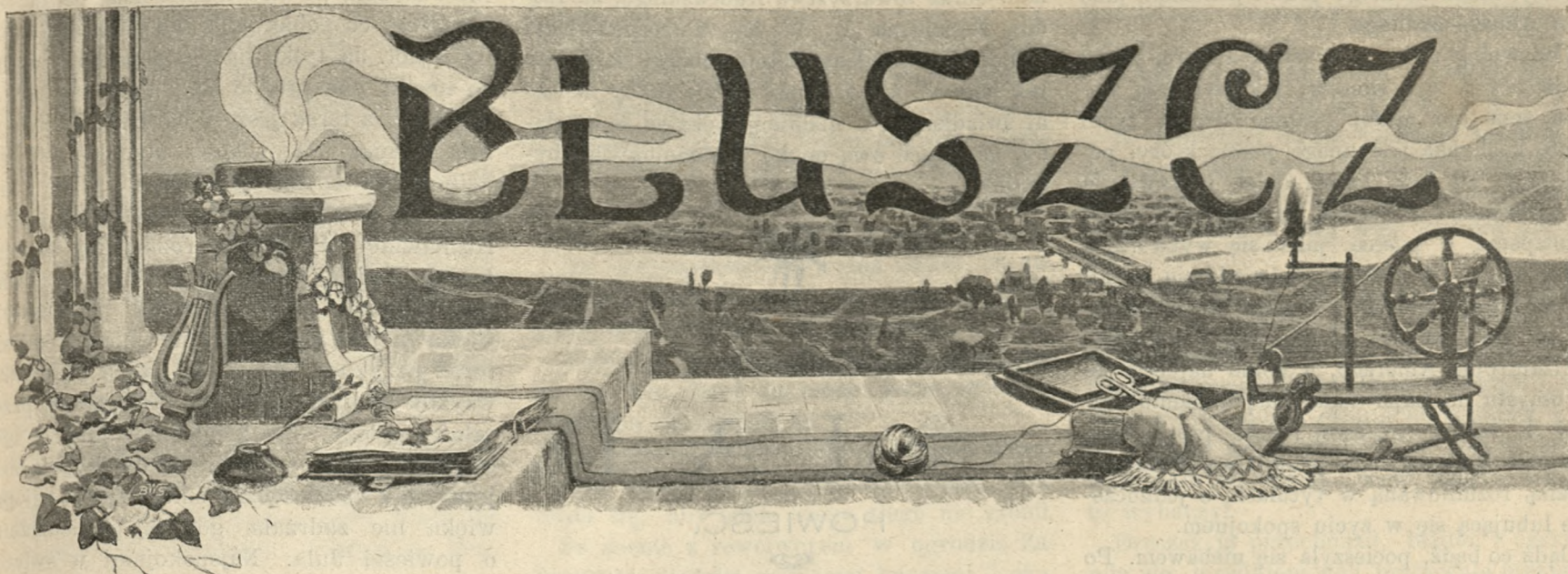




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

Alfieri i hrabina Albany.



Listy i papiery, pozostałe po żonie ostatniego Stuarta, Karola Edwarda, hrabinie Albany, wślawionej swoim stosunkiem z włoskim poetą Alfierim, dostarczyły już obfitego materiału historykom, ale nie wyczerpały się do dna. P. Péliissier wyłowił jeszcze bardzo ciekawe listy, malujące charakter Niemki, poślubionej Anglikowi i zitalienizowanej przez długi pobyt we Włoszech. Odznaczała się lekką moralnością dam ośmnastego wieku, odróżniając się jednak umysłem niepospolitym, wielkiem zamiłowaniem do literatury i sztuki oraz dobrocią wrodzoną. P. Péliissier dodaje do znanej biografii szczegóły nowe, zaczerpnięte z korespondencji, znalezionej w pugilaresie hrabiny d'Albany. Ton listów, pisanych przez ludzi rozmaitych narodowości, odznacza się wielką swobodą i pobłażliwością na wykroczenia miłosne. Żaden z korespondentów nie dziwi się dwuznacznej sytuacji hrabiny, która żyła kolejno z dwoma kochankami. Wszystkie listy kończą się nawet ukłonem lub słowem uprzejmem—dla przyjaciela domu.

Korespondenci tak mówią o Alfierim i Fabrze, jak gdyby ich stosunek do hrabiny był czemś zupełnie naturalnem. Tłómaczy to moralność współczesna wogóle, a włoska—w szczególności. W wieku XVIII-tym nie wymagano od kobiety, aby była wierną mężowi, ani nawet—kochankowi. Takimi byli Włochy, odmalowane tak wiernie przez Stendhala. Takie obyczaje znajduje tam Ludwika Stolberg w chwili, gdy przy boku męża, starszego od niej o lat 32, osiada na stałe we Włoszech.

Jej małżeństwo było czystą kombinacją polityczną. Ks. d'Auquillon, pragnąc trzymać

w szachu dom Hanowerski, starał się ożywić nadzieje Jakobitów i utrwalić ród Stuartów przez ożenienie ostatniego potomka tego rodu: Karola-Edwarda. Miał on chwilę sławy w r. 1745, gdy prowadził szkockich góralów do boju, ale po krwawej porażce pod Culloiden, zmuszony uciekać przed angielskimi agentami, którzy go ścigali po całej Europie, tak, jak jego ojciec, Jakób III, schronił się wreszcie w Rzymie i tu prowadził cień dworu; dawano mu jeszcze tytuł króla, nie pozostało mu jednak ani władzy, ani świętności, ani nawet powagi. W r. 1761 ambasador angielski przy dworze francuzkim, lord Stanley pisał do swego rządu:

„Mówią, że syn pretendenta upija się od samego rana i że co wieczór, służący zanoszą go na wpół martwego do łóżka.”

W Rzymie, pomimo pozorów królewskiego dostojęństwa, pomimo obecności brata, kardynała Yorku, pije na potęgę a upiwszy się, wali pięściami służbę, przyjaciół, baronów swego dworu, ku wielkiemu zgorszeniu ludności rzymskiej, odznaczającej się trzeźwością. Pijacki nałóg tak go pochłoniął, że Karol-Edward nie może się od niego powstrzymać w najważniejszych i najpoważniejszych chwilach swego życia. Ks. de Choiseul wezwał go w r. 1770 do Paryża, aby z nim pomówić o jego własnych interesach i przygotować może restaurację. Karol-Edward przybył nie w godzinie oznaczonej i tak pijany, że trzeba było zaniechać konferencji.

A jednak w roku następnym ks. d'Auquillon zwrócił oczy na tego niefortunnego kandydata do korony angielskiej. Ofiarował mu pensję 240,000 liwów pod warunkiem, że się ożeni. Nie żądano już od niego, jak dawniej, aby przybył do Anglii i zagrzał swych stronników do boju. Chciano tylko, aby się ożenił i miał potomka. Na oblubienicę wybrano mu Ludwikę Stolberg, pochodzącą ze

starej turyngskiej rodziny; miała lat dwadzieścia niespełna, on zaś 52. Co mogło skłonić osobę piękną, zdrową, młodą, świeżą, dobrze urodzoną do oddania ręki opojowemu? Chyba próżność. Karol-Edward w ślubnej interezy mieni się: królem Anglii, Francyi i Irlandyi. Jego żona jest zatem królową i znajdzie pochlebców, którzy będą jej udzielali tego tytułu do końca życia.

Pragnąc olśnić swą młodzieńtką małżonkę, Karol Edward przywozi ją z wielką pompą do Rzymu. W orszaku było pięć złocistych karoc. Miodowy miesiąc próżności trwał krótko; młoda kobieta znalazła się wobec smutnej rzeczywistości, wobec męża pijaka, brutalnego i zazdrośnika, który ją bił i na klucz zamykał. Wreszcie zerwała pęta. Dopomógł jej w tem wielki poeta włoski, duch niespokojny, który całą młodość spędził na wędrówkach,—słowem Alfieri. On to przy poparciu wielkiego księcia Toskanii wykradł ją i osadził w klasztorze pod opieką kardynała Yorku.

Książęta świeccy i duchowni, zakonnice przyczyniają się do oswobodzenia Ludwiki z pęt małżeńskich, co najlepiej charakteryzuje wiek XVIII-ty i jego obyczaje.

Alfieri i hr. Albany żyli bądź razem, bądź osobno, nie kryjąc się ze swą miłością wzajemną, aż do chwili, gdy Karol-Edward, za namową króla szwedzkiego, Gustawa III-go, zgodził się na separację z żoną, która na trzy lata przedtem opuściła go ze skandalem. Na mocy aktu urzędowego z pieczęcią królewską oddawał jej wolność i pozwalał przebywać nadal, gdzie zechce. Czyniła to poprzednio bez jego zezwolenia. Kochankowie żyli w Alzacyi, w Paryżu, w Londynie we Włoszech.

Po śmierci pretendenta mogli byli się pobrać, ale uważali to za... zbyt uczciwe, przytem Ludwika Stolberg nie chciała się wyrzec królewskiego tytułu. Jako hrabina

Albany, miała do niego prawo poniekąd, jako pani Alfieri—żadnego.

Ten wolny związek trwał do śmierci poety a nie zawsze był zgodny, jak świadczą złośliwi; tem nie mniej hrabina uczuła żywo stratę kochanka i słynnego poety, który, poświęcając jej dużo swych dzieł, postawił ją na piedestale. W listach do przyjaciół mówi z rozpaczą o pustce, jaka się wytworzyła w jej życiu. A jednak nieświadomie, pomimo 26-letniej wierności i uległości wieszczowi, po jego śmierci doznaje ulgi. Ponurość i mizantropia Alfieriego, wysokie napięcie jego umysłu nie odpowiadały usposobieniu hrabiny z natury trzeźwej i dość prozaicznej. Ludwika Stolberg była prawdziwą Niemką—próżną, rozmiłowaną w tytułach, a jednocześnie lubującą się w życiu spokojnem.

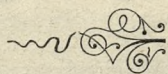
Bądź co bądź, pocieszyła się niebawem. Po wielkim wieszcu przyszła kolej na malarza Fabra de Montpéllier, młodszego od niej o lat czternaście. Nie był pozbawiony zdolności a zwłaszcza charakteru. Jako syn wyrobnika, zwalczył dużo przeszkód, zanim dostał się do pracowni Davida i następnie zdobył *prix de Rome*. Powodzenie swe zawdzięczał głównie wytrwałości i energii. Hrabina Albany znalazła w nim spokojnego i przywiązanego towarzysza, nie krępującego jej upodobań i zamiłowań. Mogła wreszcie otworzyć swój salon, przyjmować ludzi, których Alfieri odstraszał. Przez lat dwadzieścia zażywała niezmięconego szczęścia i spokoju.

Dzieje serca hrabiny Albany odzwierciedlają się w korespondencji, zebranej przez p. Pélassier. Z pośród 350-tu listów nieznanych dotychczas, najciekawszymi są listy pisane przez panią Maltzan i panią de Sousa. Obie umieją przelać wdzięk w korespondencję i nadać jej technienie życia. Obie dają

nam obraz towarzystwa francuzkiego, za rządów Napoleona I. W ich korespondencji znajdujemy odgłosy bitew, obrazy festynów tak barwne, że patrzymy na nie jakby naoczni świadkowie, a niemniej ciekawe są poglądy, cechujące ową epokę rozluźnionych obyczajów.



Maryan Gawalewicz. ←



J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

— Przepraszam cię, moja Peppo, ale ci powiem, że zrobiłaś kapitalne głupstwo! — rzekła z wymuszonym śmiechem. — Miszetta nie powinna była tego czytać.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie.

— Skoro ja, matka, czytam i przyznam się, że mnie to nawet bawi miejscami, to przecież ona z większem jeszcze zajęciem będzie czytała o sobie.

— Ach, ty!... ty jesteś zupełnie co innego,— zakonkludowała Prezesowa takim tonem, jak gdyby chciała powiedzieć:

— Co ty się na tem znać możesz!

Maman Dobrojewska zrobiła urażoną minkę i kreśląc małym paluszkim kółka na pluszowej serwecie, z wyrazem skarconej pensyonarki, łypała powiekami, jak gdyby się jej na placz zbierało.

— Doprawdy, ty masz o mnie wyobraże-

nie—zaczęła po chwili milczenia,— że ja już nie wiem co robię, a ja moją Miszetkę znam na wylot. Ja tylko na nią popatrzę i wiem, co myśli; ona przede mną nigdy nie nie ukrywała, a teraz jeszcze bardziej, kiedy wyszła za męża. Henrykowi przecież nie będzie mogła i tak ze wszystkiego się zwierzać, bo z mężem nie o wszystkim można rozmawiać. My kobiety rozumiemy się najlepiej. Dzisiaj ona musi mieć do mnie więcej zaufania, niż za czasów panińskich. Ciekawa jestem, czemu nie miałyby mi się teraz przyznać, że jej się Julek podobał?... Czyżby to było co złego?... To już do przeszłości należy. Ja z nią mówiłam o tem otwarcie i daję ci słowo, że on jej jest obojętny, jak zeszłoroczny śnieg; nawet jej powieka nie zadrżała, gdy jej powiedziałam o powieści Jula. Najspokojniej w świecie poprosiła mnie tylko, aby jej przysłać komplet „Gazety“ i słowa więcej nie wspomniała o tem.

Palewska z niedowierzaniem słuchała, kiwając głową, ale jako „znawczyni ludzi“ pozwalała sobie powątpiewać o tem i miała słusność.

Skryta i zamknięta natura Misi nie zdradziła się wprawdzie przed matką z żywego zajęcia, jakie w niej wiadomość o „Piekłach miłości“ zbudziła, mimo to nie mogła się doczekać nadesłania żądanych numerów i poleciała służącemu pójść do starszej pani po obiecane dzienniki.

Lokaj wrócił z paczką gazety i listem matki, w którym Peppa po francuzku na wonnym kartoniku z szarotką uprasza córkę, aby sobie nic nie robiła z tego całego „Piekła“, które jest dobrmi chęciami wybrukowane.

„Zaklinam cię tylko — pisała, — nie przejdź

POGAWĘDKA.



VI.

Pewien nudziarz i uczony
Pisał do mnie temi dniami,
Że ogromnie jest zajęty
Radowemi odkryciami.
Przez ćwierć wieku celom wiedzy
Jak niewolnik służy wiernie;
Dla nich rzekł się innych pragnień;
Dla nich znosi wszystkie ciernie;
Im dał życie swe w ofiarze,
Dla nich trudy zniósł olbrzymie
I do dziejów ludzkiej wiedzy
Wpisał nowe polskie imię...
U nas znają go zaledwie
Naukowi towarzysze...
Snadź, to boli uczonego,
Bo tak o tem do mnie pisze:

— „W waszych pismach przeczytałem
(Dużo tej bibuły macie!)
Stosy szumnych artykułów
O aktorze-jubilacie:
Interviewy z nim i z żoną,
Wzmianek sto przed benefisem

I recenzje z widowiska
Z upominków długim spisem...
A w tych wszystkich sprawozdaniach
Tyle pięknych przymiotników,
Taki hejnał uwielbienia
Z pod wytwornych piór krytyków:
Że kto czytał, mniemał snadnie,
Iż na nasze widnokreśli
Zstąpił z nieba geniusz nowy
Wielkiej miary i potęgi;
I coś stworzył ogromnego,
Czemś ogromnem świat zadziwił,
Lub „kochając za miliony“,
Te miliony — uszczęśliwił?...
No, i przyszło mi do głowy
Arcy-dziwne zapytanie:
Czem ja, biedak, mógłbym zdobyć
Taką sławę i uznanie?
Co ma światu dać uczony,
Publicysta wielkiej miary?
Jakie perły wieszcz natchniony
Musi sypnąć ze swej czary?
Czem ma swego społeczeństwa
Tak zatargać nerw nieczuły,
By mieć takie benefisy
No — i takie artykuły?
Że za pracę ćwierćwiekową
Talentowi odpłacacie;
Że kto własnej chacie służył,

Ma uznanie w własnej chacie;
Że i aktor ma zasługi
I wart sławy i ofiary —
Rzecz bezsporna! — lecz, na Boga,
Mieście nieco więcej — miary!
Bo gdy rysem jest dodatnim
Szczera wdzięczność bratniej rzeszy —
To wydeła nad — zasługi
Trochę gniewa, no i — śmieszyl!...“

Dalej pisze nudziarz stary,
Że na żadnym krańcu ziemi,
Niema ostrych tak przejawów
Teatralnej epidemii;
Lub właściwie, ceniąc sztukę,
Z teatralnym jej wytworem,
Nigdzie tyle wielkich rzeczy
Nie wyrabia się z — aktorem...“

W końcu listu był dopisek:
— „Rad cudownem jest odkryciem!
Źródłem ciepła naszej ziemi
I wszelkiego życia-życiem!
On żar nieci w bryle słońca!
Wszechbytowi daje dzielność!
I nad widmem zgonu ziemi
Świt zapala — nieśmiertelność!
On da myśli nowe loty,
By nad głupstwa wieczne pleśnie

muj się zanadto niektórymi ustępami, a zwłaszcza nie daj tego poznać po sobie kochanemu Heniowi, któremu może nieprzyjemnie było, gdyby się dowiedział, że Twoją niby historię drukują publicznie po gazetach.

„Zresztą — dodawała na pocieszenie, — to wszystko przecież bujna fantazja, jak zwykle w romansach i jeszcze niewiadomo, czem się to skończy. Przypuszczam, że Julek pomimo całej nietaktowności, będzie umiał zachować miarę i dobry ton przyzwoitego człowieka, aby nie dać ludziom domyślać się za wiele, tem bardziej, że sobie całą tę powieść z głowy wysnuł.“

Uwaga przeznaczonej matki co do dyskrecyi przed mężem była zupełnie niepotrzebną.

Jeżeli co najwięcej zaniepokoiło Michalinę w tej sprawie, to właśnie wzgląd na Henryka.

Instynkt kobiecy ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem wzbudzenia w mężu podejrzeń, z których musiałaby się przed nim tłumaczyć.

Chciała jak najprędzej przekonać się, co zawiera to po szatańsku pomyślane „Piekło“, w którym wzgardzony konkurent umieścił ją jako bohaterkę, i przed całym światem rozwodzić zaczynał swoje żale i skargi zawiedzionej miłości.

Nie dawała poznać tego po sobie, ale nurtowała ją ciekawość i drżała z niepokoju przed tem, co wyczyta w tej drukowanej spowiedzi, w której przewidywała akt oskarżenia przeciw sobie.

— Bez względu na to, co i jak pisze — mówiła sobie, — to nieszlachetne i nieuczciwe załatwiać w ten sposób swoje rachunki sercowe i to właśnie teraz, w takiej chwili, kiedy nie jestem samą i kiedy wszelkie zło

i wszelka przykrość dotknie nas dwoje, mnie i Henryka.

Przeczuwała, że ta powieść będzie aktem zemsty, zapowiadanej jej niejednokrotnie.

— Popamiętasz!... pożałujesz!... — powtarzał jej przecież tyle razy tonem pogroźki, może właśnie wtedy, kiedy się w nim zrodziła już myśl takiego odwetu i gdy pierwsze rozdziały „Piekle“ wychodziły z pod jego pióra.

Nie przypuszczała wówczas nawet, co zamierza i brała te słowa za puste wykrzykniki, które chciała ją nastraszyć.

Niekiedy przychodziło jej do głowy, że po za tem kryć się może jakaś straszna, tragiczna niespodzianka.

Były chwile, w których widząc go rzeczywiście zmienionego i rozdrażnionego, obawiała się, aby sobie czego złego nie zrobił.

Po scenie z rewolwerem w ogrodzie Zaliwskich, śledziła go nawet baczniej i okazywała mu więcej życzliwości, ciepła serdecznego i współczucia.

Zdawało jej się, że te cierpienia, te rozpaczne wybuchy mają jakąś szczerą, która ją przejednywała; nie mogła podzielać jego miłości, nie mogła poczuwać się do winy, którą jej zarzucał, nie umiała rozumować jego argumentami, ale mimo to litowała się nad nim.

— Jeżeli mnie istotnie tak kocha, jak powiada — myślała, — to musi cierpieć bardzo, a gdy cierpi, to jest nieszczęśliwy prawdziwie, bo mu odebrałam wszelką nadzieję. Kochać beznadziejnie, to piekło na ziemi, to los potępieńca!

I wobec tej myśli nie mogła pozostać obojętną, nie mogąc być okrutną.

Znała jego gwałtowną, choć hamowaną naturę i namiętny, porywczy temperament, ale widziała w nim tyle niekonsekwencji za-

razem i tyle kontrastów, że w pewną stałość uczuć i zamiarów nigdy uwierzyć nie mogła.

Nagły wyjazd jego przed samem jej weselom wstrząsnął ją do głębi serca.

W pierwszej chwili zadrżała zatrwożona przypuszczając, że wyjechał, uciekając z własnym bólem, z którym pasować się będzie gdzieś daleko i Bóg wie, czy mu nie ulegnie.

Rozumiała, że nie mógł patrzeć na to, jak ją do ołtarza prowadzić będzie inny, szczęśliwszy, wybrany nad niego rywal, i kładąc jeszcze welon ślubny na głowę, myślała o nim, robiła ostatni obrachunek z sobą, pytała się w duchu, czy gdyby mimo woli stała się winną... jego śmierci, Bóg jej to wybaczy?

Dreszcz ją przechodził, bladła i czerwieniła się, wysiłkiem woli próbowała utrzymać równowagę i dlatego wydawała się tak dziwną, niezrozumiałą, tajemniczą Henrykowi w dniu najszcześniejszym ich życia.

Gnębił ją niepokój i troska o los tamtego.

Dopiero gdy podczas uczty weselnej nadszedł telegram gratulacyjny od Jula, nadesłany z jakiejś stacyi kolejowej po drodze do Wiednia, odetchnęła nieco swobodniej!

Zwykle, szablonowe wyrazy życzeń weselnych nie zawierały w sobie ani cienia wewnętrznej rozterki.

Ta szara pospolitość depeszowego stylu była jej nawet przyjemną.

Tak mógł telegrafować tylko człowiek z równoważony, spokojny, a przynajmniej zrezygnowany.

— Uczynił to umyślnie, aby uratować pozory, — pomyślała i niemal wdzięczną mu była, że nie skorzystał z takiej chwili, by ją dotknąć dwuznacznem słowem i jeszcze raz

Biegła wyżej — hen — do słońca —
Bezgranicznie i bezkresnie!...
Tyle nudziarz i uczony —
Ot, zwyczajnie: dziwak zrzędny,
Obcy życiu, jego prądom,
Więc surowy i bezwzględny....
Wiedzieć nie chce, że nasz Frenkiel,
To nie żaden z kabotynów,
Lecz artysta całą gębą,
Wart uznania i wawrzynów,
A nasz ogół, gdy go darzył
Kwieciem, groszem i pochwałą —
To nie uczył go — *za dużo*,
Ale innych czei — *za mało!*...

Ot, na przykład brat literat!...
Przywędrował tu zdaleka,
Z wiarą w sercu, że go tutaj
Jakaś święta misja czeka...
Przywiózł z sobą zapal młody,
Dar pisarski, zapas wiedzy,
Ujął lemiusz literacki
I jął kopać nim na miedzy...
Przez ćwierć wieku zanie orał
Skiby chude i jałowe;
Przez ćwierć wieku co dnia nużył
Swoje oczy, dłoń i głowę;
Przez ćwierć wieku był Syzyfem,
Przygniecionym prac ciężarem,

Był Tantalem, był Ixionem,
Prometejem i Ikarem;
Niewolnikiem, wiecznie skutym
Z szarym, twardym swym deptakiem,
No — i został po ćwierć wieku,
Tak, jak przedtem był — biedakiem...
Sprawiono mu jubileusz
W towarzyszków szczupłym kole...
Kilka mówek stanowiło
Całą sławy aureolę —
A nazajutrz znów do jarzma,
Jak przez zbiegłe ćwierć stulecie —
Bez pociechy i bez jutra
Orać chudy grunt w gazecie...
O ćwierćwieczu myśli twórczej,
Prawej służby, pracy szerszej
Napisano tu ćwierć szpalty,
A tam wzmianki z dziesięć wierszy!...
Jak w notatce teatralnej,
Że ot zmiana dziś w balecie:
Zamiast Mimi — tańczyć będzie
Piękna Lili — w piruecie...

Ten brak w sądach i sympatyach
Sprawiedliwej, mądrej miary —
To sumienia publicznego
Cierń bolesny i wróg stary,
Co przez długie wieków dzieje
Wciąż fatalny ślad swój znaczy

I najlepsze serce porywy
Dawniej paczył i dziś paczy...

Już nie suszy Texel stary
Nad tą plagą mózgu sobie,
Bo na wieczne błogie spanie
Złożono go w cichym grobie —
Z nim ze świata zeszedł aktor
I dyrektor sporej chwały,
Co przysporzył scenie polskiej
Sił aktorskich legion cały;
Co miał dużą cześć dla sztuki,
Lat czterdzieści był jej sługą
I w historii polskiej sceny
Wpisał imię swe na długo.
Pierwszy naszej dał prowincyi
Poznać oper cykl wspaniały;
Jego dobra myśl zrodziła
Tu w Warszawie teatr Mały;
On wędrowną Melpomenie
Artystyczne cechy nadał;
Nie zbił grosza na teatrze
I — aktorów nie okradał...
Za to niech go scena swojska
W zasłużonych stawi rzędzie —
I ta ziemia, której służył,
Niech mu lekką będzie...

Artur Gliszczyński.

upokorzyć za to, że odtrąciła jego uczucia.

Serce uczciwej i szlachetnej kobiety umiało uszanować niepodzielną miłość.

Potem mijały dnie, w których wrażenia własnego szczęścia, te pierwsze, rozkoszne świty małżeńskiego pożycia stłumiły w niej wszystko, co było po za nimi dwojgiem, poza nią i Henrykiem; aż nagle matka przyniosła jej niespodzianie wiadomość o powieści Julka, jako o najnowszej sensacyi, o wypadku dnia, którym zajmowali się wszyscy znajomi, przyjaciele ich domu, bliżsi i dalsi, który lakomą strawą stał się dla plotki miejskiej i ożywił potok nowinek salonowych.

I wtedy doznała uczucia tak przykrego, jak gdyby jej białą szatę ślubną splamili wstrętne błoto.

— Jakto? — mówiła sobie, — i to miało być jego zemstą?... to jest spełnieniem owych pogroźek, które mnie dreszczem przejmowały?... to jego odwet?

Nie przeczytała jeszcze ani jednego wiersza sensacyjnej powieści, o której tylko opowiadała jej matka, że jest w niej opisana aż do pieprzyka na palcu, nie wiedziała, co się w niej mieści, ale uczuła niesmak rozczarowania, czuła jakiś zawód, który jej obniżył moralną wartość człowieka, narzucającego jej swoją miłość i pozującego na męczennika, na ofiarę.

On, który tyle mówił o swojej dumie upokorzonej, o swoim sercu namiętym, lecz ambitnym, poszedł na targ publiczny, pomiędzy tłum i najsłabsze swe tajemnice, swoje rzekome cierpienia i męczarnie opowiadał gawiedzi ciekawej, odsłaniając zranioną pierś bohatera i postawił ją obok siebie pod pręgierz w tym miłosnym paszkwilu.

Zemścił się na niej, jak literat, który przez złość bryzga atramentem.

I to miała być ta wyższa, oryginalna indywidualność, ta niepospolita natura?...

To wydało jej się niegodnym ich obojga, bo było takie niskie, takie małe.

Kiedy otrzymała od matki zwitek feljetonów z „Pieklami miłości“, zamknęła się w swoim pokoju i zabrała do czytania; chodziło jej teraz najbardziej o to, czy nie znajdzie w nich czegoś, coby mogło ubodnąć jedyne serce, które ją kochało uczuciem dla niej świętem, najdroższym w życiu.

Obawiała się, czy mąż jej, dostawszy do rąk prędzej lub później powieść Julka, nie dopatry się w niej rzeczy, podsuwających mu najfalszywsze domysły, przedstawiających ich stosunek, w rzeczywistości tak niewinny, w jakimś świetle jaskrawem, które nada całkiem odmienne pozory tej jednostronnej miłości, czy nie zachwieje swej wiary w nią?

Myślała tylko o tem, co mu będzie musiała odpowiedzieć, gdy spyta:

— Misiu, prawda to?...

Wiedziała, że ma tylko jedną jedyną odpowiedź:

— Nieprawda! — ale czy to drukowane słowo nie wsączy mu w duszę jadu zwątpienia i podjrliwości?... czy mimo wszystko zechce uwierzyć więcej jej, niżeli jemu?...

Z wypiekami na twarzy pochłaniała jeden rozdział za drugim i coraz bardziej ścisnęło się jej serce.

W powieści natrafiała na ustępy, które jakby żywym głosem Julka przemawiały do niej, powtarzały ich potajemne rozmowy, wołały do niej:

— Kocham cię!... patrz, jak nędznym uczyniłaś mnie, odtrącając moją miłość!

Poznawała siebie i jego w każdym rysie, w każdym najdrobniejszym szczególe, który przypominał jej jakąś chwilę z nim przeżyta, jakieś zdarzenie rzeczywiste, które zawiązywało między nimi jedną więcej nitkę w tej pajęczej sieci, jaką pozwalała się opłatać bezwiednie i bezradnie w tych czasach, zanim poznała Henryka.

Wszystko, co dotąd przeczytała było prawdą; — nie, to nie był paszkwil, którego się spodziewała, to była rzeczywista historia ich stosunku, tylko historia, opowiedziana tendencyjnie, z niedomówieniami, z jakimś półcenieniem, w którym fakty wiernie opisane przedstawiały się dwuznacznie i to było gorsze od kłamstwa i przesady.

Czuła, że nie byłaby zdolną zaprzeczyć temu, a jednak przyznając się, musiałaby zciągnąć na siebie podejrzenia, z których trudnoby jej było się wytlómaczyć i usprawiedliwić.

Przeglądała się w tym obrazie, jak w zwierciadle, które odbijało jej rysy, ale zabarwiał je jakimś kolorem fałszywym.

Zrozumiała teraz, że jeżeli Julek widział ją taką swoimi oczyma, jaką ją odmalował, to musiała mu się wydać winną jego męczarni i cierpień, mimowolnie, bezwiednie mu zadanych.

Przedstawił ją, jako istotę szlachetną, wyższą, niepospolitą, zapoznaną i nierozumianą w życiu codziennym, szukającą instynktownie miłości i to jej pochlebiało.

— A jednak on mnie poznał dobrze! — mówiła sobie, zdziwiona głębokością obserwacji, których nawet nie przypuszczała w autorze „Piekle“; — on to dostrzegł we mnie lub odgadł, czego nawet przed nim nie chciałam odkryć.

Przerwała czytanie i zamyśliła się.

Po długiej chwili zadumy powróciła z ożywionem zajęciem do dalszej lektury, która powoli przejednywała ją z autorem; sądziła, że będzie musiała się oburzać na niego i nie znalazła nic takiego, coby ją po drażnić i obrazić mogło.

Z pod lekkiego nastroju satyry przebiegała jakaś cicha melancholia i smutek, ilekroć powracał do opisu swej bohaterki i wyprowadzał ją z szarego otoczenia sfery, w której się obracała, na pierwszy plan, a zwłaszcza, gdy wyrażał własne uczucia i malował z biegiem akcyi stosunek swój do niej, odtworzony z rzeczywistości.

Były chwile, gdy miała łzy w oczach.

(Ciąg dalszy nastąpi).



DAREMNIE.



Daremnie ciskam wzwyż, na jasne dale,
Pałacach spojrzeń swych złowróżbne groty;
Ach! słońca bratnich dusz nie widzę wcale
W głębokiej jaśni nieb gwiazdzisto-złotej.

W głębokiej jaśni nieb blask tryumfalny
Z tysiąca bije ócz na modrą toń...
Skróś srebrne dzwoni mgły śpiew pożegnalny
I w duszę zwiędłych róż przesącza woń.

Tam widzę roje gwiazd — lecz ich oblicza
Są obce moim snom — czarownym snom...
Gdzie gwiazda bratnich dusz, gdzie tajemnicza?
Czy szatan strącił ją, czy spalił grom?

Daremnie ciskam wzwyż złamane groty
Omdlonych spojrzeń swych na jasne dale...
Ach, widzę męki krzyż przez mgły tęsknoty,
Lecz słońca bratnich dusz nie widzę wcale!

W. D.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Wśród przeciągu tych straszliwych dwustu kilkudziesięciu lat — od Nerona do Konstantyna — dziesięć pokoleń Chrześcijan wychowało się w atmosferze ciężkiego gnębienia z jednej strony, a wytrwałego oporu z drugiej. Każde z tych pokoleń oddychało krwawą grozą, jak parnem powietrzem dni burzliwych, a ciągłymi przykładami heroicznego entuzjazmu karmiło się, jak chlebem powszednim, i każde następne urastało w tych warunkach na żywy obraz poprzedniego. Bywały — rozumie się — jak w każdej ludzkiej rzeszy, osobniki i całe nawet grupy wyrodne, ale pełen niepożytej żywotności organizm Zgromadzenia wypływał je z wnętrza swego, jak jad śmiertelny, a natomiast wchłaniał w siebie wszystko, co tylko w rzymskim społeczeństwie odczuwało potrzebę naprawy duszy, pragnienie odzwierzęcenia się, głód czegoś wyższego nad dymy sławy lub upojenia erotyczne ideału.

W pięknym i poważnym dziele p. t. „Początki cywilizacji chrześcijańskiej“ Godfryd Kurth, professor Uniwersytetu w Liège, tak o tem pisze:

„Od samego początku wierni zewsząd napływali. Podobne do pszczoł, które do ula podążają, najszlachetniejsze dusze świata pogańskiego przyłączały się do chrześcijańskiego Zgromadzenia. My, żyjący wśród społeczeństwa oswojonego z Ewangelią, pojąć nie umiemy zadziwienia tylu dusz wyniosłych i dumnych, zachwytu tylu serc znękanych, gdy po za ohydą bałwochwalską ujrzaly po raz pierwszy promienny uśmiech Jezusa. Na widok takiego Boga, który ramiona otwiera,

aby ich przycisnąć do serca skrwawionego, nieszczęśliwi czciciele bożyszcz sprośnych lub śmiesznych padali na kolana, a ludzie, w których wyuzdanie pogaństwa zatarło ideę bóstwa, bili się w piersi, powtarzając za setnikiem: „Zaiste, Ten jest Synem Bożym!“ Pośród zbrozonego i skalanego społeczeństwa amfiteatrów umysły podniosłe, trawione szlachetną żądzą dobra, czuły niewypowiedziany pociąg ku owym pokornym ustroniom, gdzie wszedłszy, zdawało im się, jakoby kroczyli z chłodu śmierci do ciepła życia, z cienia nocy do światła dziennego. Balsam miłości goił serce ich rany, z niewymowną słodyczą czuli się miłowanymi, z niewymowną radością w bliznim brata zobaczyli. Oświeceni światłem prawdy, znajdowali rozwiązanie zagadki świata i własnego życia, i czuli się szczęśliwymi, że posiadli наконец wyjaśnienie pytań, nad którymi napróżno mozoliła się filozofia pogańska. Wraz z przesadami i występami poganizmu, wyzuwali się także z trwogi dawniejszej, gdyż obietnica nieśmiertelności rozpraszała smutek duszy, którą poganizm zostawiał bez ratunku wobec grozy unicestwienia. Chrystyanizm był zarazem nauką szczytną, prawem doskonałym i nadzieją niezłomną; był nowym Edypem, rozwiązującym tragiczne zagadki, pozostawione bez odpowiedzi przez świat starożytny, był prawdziwym Prometeuszem, który urabiał człowieka na obraz Boga i w łonie jego zapalał iskry nieśmiertelności.“

„W miarę odradzania się jednostek, odradzało się także społeczeństwo. Rodzina odzyskała harmonię swą i piękność. Małżeństwo, podstawa rodziny, uświęcone sakramentalnie, stało się związkiem nietykalnym i nierozrwalnym. Małżonka stała się po raz pierwszy szlachetną i czystą towarzyszką męża, której dusza równą jego duszy ma cenę wobec Boga. Wątpliwa i wrażliwa istota, którą poganizm wydawał bezbronną na łup żądz męzczyzny, Jezus Chrystus szczególną otoczył opieką i kazał w niej szanować — według wyrażenia Księcia Apostołów — „wspólną dziedzinę łaski żywota.“ (I-szy list św. Piotra, III, 7).

Tak tedy Chrystyanizm rozwikłał najzawilsze i najważniejsze kwestye, które aż dotąd trapiły ludzkość, albo bieg jej skrzywiała, będąc same przez nią w zasadzie swej skrzywionemi. Kwestya różnic społecznych rozwiązana została przez bratnią miłość bliźniego, kwestya nierówności dóbr — przez dobrowolną ofiarność, kwestya stanowiska kobiety — przez duchowe płci zrównanie. A gdy doktryna rozstrzygała w zasadzie, wyznawcy jej stosowali teorię w praktyce, wykazując doświadczalnie, że jest ona faktycznie możliwą, a rezultatami swemi prawdziwie rozwiązuje problemat dobra i szczęścia ludzkości.

Teorie socyalne w tem podobne są do hipotez naukowych, że tak, jak one, muszą przejść przez eksperymentalne prawdziwości swej sprawdzenie, aby stać się niezawodnymi aksjomatami. Tak właśnie system społeczny, wypływający ze stosowania w czynie zasad doktryny chrześcijańskiej, chociaż sam w sobie niezawodnie doskonały, jednakże w oczach świata nie mógłby stać się socyologicznym

pewnikiem, gdyby nie doświadczalne jego stwierdzenie w praktyce życiowej.

Praktyka życiowa pierwszych gmin chrześcijańskich była takim sprawdzianem, który wykazywał oczom świata, że stosowanie się do praw ich wiary wytwarza społeczność doskonałą nie tylko etycznie, ale także ustrojowo. Gminy chrześcijańskie trzymały głowę wysoko w obłokach, a nogi mocno wparte w ziemię. Ciągłe obcowanie ze szczytnymi abstrakcjami nie tylko nie przeszkadzało im do pozytywnego światopoglądu, ale przeciwnie, nakazywało konkretnie przeprowadzać ideowe swe przeświadczenia, wcielając w żywą rzeczywistość ideał społeczny, nakreślony przez chrześcijańską doktrynę.

Gminy te, ożywione jednym duchem i spójone wspólną wolą, nie znały trzech głównych plag, trapiących ludzkość w jej życiu moralnym, umysłowym i ekonomicznym, — trzech klęsk zasadniczych, jakimi są: występki, błąd i nędza.

Występnicy, którzy naturalnie i w łonie gmin chrześcijańskich zdarzali się — bo ułomność ludzka zdarza się zawsze i wszędzie — nie byli wzgardzeni i jak zepsute członki odcinani, lecz z litościwą miłością moralnie leczeni; poddawano ich surowym, lecz sprawiedliwym „pokutom“, aby się zarazem oczyszczali i naprawiali, ale karząc — traktowano ich ni by biednych chorych, których osobę miłujemy i pielęgnujemy, podczas gdy chorobą ich brzydzimy się i wykorzeniec ją usiłujemy.

Zbłąkani, jeżeli nie opuszczali Zgromadzenia, lecz w ciemnościach swych szukali światła u ogniska, z którego wszelkiej prawdy promienie wychodzą, dostawali zawsze tyle oświecenia, na ile pokorne poddanie się ich umysłu zasłużyło.

A nędzarze, tak ci, co są do pracy niezdolni, jak i ci, co nie mogą pracy znaleźć, w gminach owych nie istnieli wcale. Pracy była zawsze obfitość; dostarczali jej bogatsi uboższymi, przeznaczając znaczną część dóbr swoich na roboty pożyteczne lub ozdobne — dla gminy lub dla chwały Bożej — i nagradzali je sprawiedliwie, kompetentnymi będąc sami; bo i najbogatsi pracowali osobiście, stosując się ściśle do słów Apostoła narodów: „Kto nie robi — niech też nie je.“ Niedołężni zaś wszelkiego rodzaju, kalecy, chorzy, starcy, to były żywe klejnoty Zgromadzenia, umiłowane jego dzieci, bo staranie około nich stanowiło związkę miłości i prawo synostwa Bożego; więc nieledwie wrywano ich sobie, aby mózdz zasłużyć się bliźnim i podobać się Bogu. Co za szerokie pole działalności dla serca kobiety! Oświecanie błądzących bardziej należało do męzczyzn, jako piastujących nauczycielstwo w Zgromadzeniu; moralne leczenie występnych, umiejętne wpływanie na zwichnięte charaktery i skażone dusze, było delikatną czynnością, którą — zależnie od okoliczności — pełniły osoby płci obu, jako mające jednakowo zaleconem „poprawianie z miłością brata grzeszącego;“ ale rozporządzanie pracą i pielęgnowanie niedołężnych było działem pożyteczności społecznej, powierzaniem przeważnie praktycznemu umysłowi i zręcznej ręce kobiety. Pod jej baczny okiem piekły się chleby na agapy, szyły się koszule

dla sierot, jej tkliwa pieczołowitość łagodziła bóle i goiła rany.

Kobietom też po większej części powierzana była zaszczytna posługa w domach modlitwy, tak około ochędóztwa, jako też zewnętrznej pomocy przy wielu obrzędach, przy chrzcielnicach i u Stołu Pańskiego, a specjalnie poświęcone tego rodzaju posługom sędziwe niewiasty zwano „dyakonissami.“ Tych moralne znaczenie musiało być niepośledniem, skoro sam Paweł św. zwraca się w jednym ze swych listów do „Ewodyi“ i do „Syntychy“, prosząc ich, aby były jednego z nim „rozumienia w Panu.“

Pomyślećby można, że oddanie się kobiety na służbę idei i jej społeczne uświadomienie, że zrzeczenie się przez nią odrębności cacka, miękkości pieścidełka, wabności pokusy, że jej zaparcie się, poświęcenie i uduchowanie oblekało ją w surową powagę lub skromną sztywność, które jej całkowicie odejmowały ów wdzięk, płci jej właściwy? Pomyślećby można, że jeśli istota urocza a tkliwa zostanie ściśle ograniczoną w używaniu tych darów natury, którymi tak hojnie uposażonem jest jej serce i przyozdobioną jej postać, wtedy przestaje być powabną i nie może być szczęśliwą?

A tymczasem dzieje się wprost przeciwnie.

Któż z ludzi o szlachetnym smaku, stojąc przed obrazem Tycjana, wyobrażającym Venus zmysłową i Venus idealną, zawahałby się w przyznaniu ostatniej estetycznego pierwszeństwa? Cnota jest nie tylko duchowo wyższą od występku, ale jest też od niego realnie piękniejszą. Cnota nawet fizycznej istocie człowieka tak często daje zdrową jędrność i świeżość; a jeżeli na jakim ludzkim obliczu zajaśnieje archanielski wyraz harmonijnego zespołu dobroci, mądrości i mocy, czyż twarz ta wszystkim bez wyjątku oczom nie będzie stokroć miłszą, niż klasyczne rysy, zaostrome złością, nabrzmiałe nadużyciem, skwaszone niesmakiem, rozgoryczone niepokojem? A w obejściu, w ułożeniu, w ubraniu kobiecym, cóż jest miłszem oku: sztuczność, czy prostota? zalotność, czy wstydlivość? pyszna zbytkowność, czy wytworność skromności? Wszak wiadomo, że nawet skażony smak libertynów rad oślinia pożądlivem spojrzeniem szlachetne i niewinne kobiece postacie.

Co się zaś tycze szczęścia, tego szczęścia, które większość kobiet tylko w podzielonem uczuciu miłosnem znaleźć umie i może, wiadomo także, że najśłodziej poi nie przepelniona i tchem jednym wychylona czara odurzenia, po którym szybkie i gorzkie nastąpi wytrzeźwienie, lecz ciągle bijący źródło ożywcze go napoju, który dla obojga ust, gaszących przy nim pragnienie, wtedy tylko jest miłą ochłodą i zdrowym orzeźwieniem, jeżeli czysty i pod miarą używany.

(Ciąg dalszy nastąpi).



D-r Henryk Nusbaum.

PAMIĘĆ,

JEJ ZNACZENIE W UMYSŁOWOŚCI I ETYCE.

Odczyt na Osady Rolne.



(Ciąg dalszy).

To samo co o medycynie, da się powiedzieć i o pedagogice. Ogólne zasady pedagogiki tworzą się wprawdzie na podstawie wyrozumowanej teorii, oraz na wyprowadzonych z umiejętnej statystyki danych o wynikach takiej lub innej metody wychowawczej, ale istotna sprawność pedagoga oprócz się musi na osobistym jego doświadczeniu. Lecz ten tylko pedagog korzysta z doświadczenia, który odpowiednią posiada *pamięć*. Ale nie ten, który obdarzony jest talentem pamiętania licznych nazwisk najdawniejszych swoich uczniów, lub drobnych epizodów z najdawniejszej nawet doby zawodowej swej działalności, ale ten, który pamięta jaknajwięcej spostrzeganych typów umysłowych i moralnych kształconej przez siebie młodzieży, co oprócz się znowu może na żywej pamięci wielu sytuacji malujących umysłowość i charakter osobnika, który pamięta liczne stosunki przyczynowości i zależności dotyczące rozwoju moralnego i umysłowego młodzieży.

Nie jest naszym zadaniem w pracy niniejszej wyczerpać wszechstronnie znaczenie pamięci w umysłowości ludzkiej, ani ściśle określić wagę jej udziału w każdej nauce. Wzmiankowaliśmy o naukach, polegających na obserwacji i doświadczeniu. Czyż potrzeba dowodzić znaczenia pamięci dla należących do tej dziedziny nauk: zoologii, botaniki i mineralogii, zwróćmy tylko na to uwagę, że zoologia dzisiejsza zna przeszło 200,000 gatunków zwierząt, botanika 150,000 gatunków roślin, mineralogia 1,000 gatunków minerałów; czyż wspominać tu o obszarach fizyki i chemii? Wszędzie tu pamiętać należy nie tyle nazwy, ile olbrzymią moc wrażeń zmysłowych, powikłań kształtów, barw, miar, przemian w czasie, warunków, stosunków, pojęć, praw ogólnych.

Niemniej ogromu pamięciowej sprawności wymaga dziejoznawstwo, językoznawstwo, nauka prawa i t. d.

W naukach spekulacyjnych nie mniejszą doniosłość gra pamięć. Bez wielkiej, żywej pamięci pojęć już gotowych, bez drgających tuż u poziomu świadomości faktów, związków, podobieństw, różnic, wątpliwości, niepodobna zgoła snuć dowodzeń i łańcuchów logicznych, mających uzasadnić lub obalić tezę. Często wypada tu doraźnie z całego szeregu w świadomości wibrujących sądów czy prawd w lot upatrzeć tę, która w danej chwili dla spekulacji naszej może być pożyteczną. Dość wziąć przykład z dowodzenia jakiegokolwiek twierdzenia geometrycznego. Sam wybór metody dowodzenia wymaga już przeglądu w umyśle całego szeregu prawd niewątpliwych i znanych, by z nich wybrać tę, która najlepiej do wyводу się nadaje, a prawd

tych szeregi muszą drgać żywo w pamięci naszej.

Do dziedziny umysłowości należy twórczość artystyczna, dotknijmy więc choćby pobieżnie roli, jaką w niej gra władza pamięci, ale przedtem jeszcze dodać musimy słów parę o pamięci w ogólności.

Powiedzieliśmy, że każde doznane wrażenie pozostawia w duszy naszej ślad, który nazywamy pamięcią nieświadomą lub pamięcią uświadomioną; przejście w biegu kojarzeń danego wrażenia z fazy nieświadomości w fazę świadomości nazywamy *przypomnieniem*. Przyjrzyjmy się teraz nieco stosunkowi wrażenia rzeczywistego, przybyłego z zewnątrz do wrażenia zapamiętanego. Wrażenie lub obraz zapamiętany jest zazwyczaj bledszy od rzeczywistego a w miarę oddalenia od chwili doznanego wrażenia echo jego słabnie stopniowo. Otóż w tym względzie zachodzą ogromne różnice indywidualne. Im mniejszą jest różnica pomiędzy rzeczywistym a zapamiętanym wrażeniem i im powolniej słabnie wibracja pamięciowa raz doznanego wrażenia, tem pamięć jest dzielniejszą. Można by zapytać: czy zdarzać się może, aby obraz pamięciowy jaskrawszym był od rzeczywistego? Otóż, ponieważ na jedne obrazy zapamiętane wpływają, drogą kojarzenia się obrazów, obrazy inne, zdarzyć się może niewątpliwie, że obraz, który będąc echem względnie słabego wrażenia i słabo też drga w głębi duszy, dzięki szczególnym skojarzeniom wzmódcz się może w swem natężeniu i stać się, będąc dzieckiem słabego rodziciela, potomkiem od niego silniejszym, obrazem jaskrawszym. Można by istotnie powiedzieć, że obrazy pamięciowe, zrodzone w duszy naszej przez zewnętrzną rzeczywistość, we współżyciu w duszy ulegają wychowaniu, nie tracąc bynajmniej zasadniczych cech odziedziczonych.

Zdarzyć się nawet może, że różnice ilościowe dochodzą takiej miary, że nabierają pozornie cechy jakościowej i czynią wrażenie zapamiętane, zupełnie niepodobnem do doznanego. Będą to zrodzone przez zewnętrzną rzeczywistość dzieci zwyrodniałe, zwyrodniałe w karły lub w olbrzymy.

Takie zwyrodnienie pamięci inne zupełnie ma znaczenie w etyce, inne zgoła w dziedzinie twórczości artystycznej.

Artystą twórczym może być tylko ten, kto uposażony jest wielką pamięcią. Mówią powszechnie, że ten, który posiada bujną wyobraźnię — ależ wyobraźnia nie jest czem innym tylko żywym kojarzeniem się bogactwa zapamiętanych wrażeń, wrażeń zapamiętanych, które ilościowo, a nawet pozornie jakościowo różnić się mogą od wrażeń doznanych, ale zawsze tylko w istocie wrażeń zapamiętanych. Przy żywej pracy kojarzeniowej, silne kołysanie i tarcie wzajemne, że tak rzekę, falujących obok siebie pamięciowych obrazów, tembardziej może wpływać na ich modyfikację, na rozczłonkowanie całych, wiązanie dalekich od siebie, ale zawsze jedynym istotnym materiałem najbardziej twórczej fantazyi będą obrazy pamięci. Najdziwniejsza *chimera* posiadać będzie wziętą z rzeczywistości zapamiętanej głowę ludzką, wziętą z tamtąd ptasie skrzydła, łapy kozie i t. d.

Każda twórczość w dziedzinie literatury i sztuki o ile uwarunkowaną być musi z jednej strony wielką wrażliwością i żywą zdolnością kojarzeniową, opiera się z drugiej strony na wielkim bogactwie pamięci i koniecznie na dokładnej pamięci ogromu zjawisk z dziedziny ciała i ducha.

Rzeźbiarz, malarz, poeta, powieściopisarz musi być dzielnym spostrzegaczem nie tylko zewnętrznej strony przejawów życia przyrody i człowieka, ale najwewnętrzniejszej ich treści. Ale samo spostrzeganie na nicby się nie przydało gdyby zdobycze jego nie utrwały się żywo w pamięci. Artysta nie tylko spostrzegać musi i widzieć dokładnie zjawiska jako takie, zjawiska narzucające się niejako poznaniu, ale i utajone sprężyny, powołujące zjawiska do życia, dające im siłę wybuchową lub głucho tylko, milczące napięcie. Tylko pamięć tych zjawisk i warunków ich powstawania lub tłumienia daje materiał pomysłowości twórczej, prawdziwej artystycznej, oraz podstawę sile i logice twórczości.

Nawet muzyk posiadać musi bogatą pamięć wzruszeń i warunków ich powstawania, a muszą być te formy wzruszeń i bardzo żywymi w pamięci, i bardzo bliskimi poziomowi świadomości, aby przy najlżejszem ich potrąceniu wylaniały się na powierzchnię świadomości w formie symbolicznej danego rytmu, danego zestroju dźwięków, danej melodyi. Z kojarzenia się tych żywych w pamięci wzruszeń, nastrojów i ich odcieni mnogich wypływa to bogactwo pieśni tęsknych i łzawych, wesołych, skocznych, figlarnych, ponurych, uroczystych, błagalnych, bohaterskich i t. d. O zwykłej olbrzymiej pamięci wirtuozów lub kapelmistrzów, którzy wzruszenia obce a raczej ich muzyczne symbole tak wiernie i w tak wielkiej ilości w umyśle swoim zachować są zdolni, chyba wspominać jest zbytecznem.

Intuicya czyli natchnienie w dziedzinie twórczości artystycznej i w ogóle umysłowej jest niczem innym tylko wybuchem przekraczaniem progu świadomości obrazów, znajdujących się bezwiednie w pamięci. Ten twórca ma bogatą intuicyę, który w pamięci swej posiada bogate zapasy myśli.

Kojarzenie się myśli nie jest wytworem przypadku, ale odbywa się wedle praw stałych i zasadniczych, praw częściowo tylko dotąd wyświełonych. Obrazy kojarzą się w umyśle naszym przedewszystkiem na modłę kojarzenia się ich w świecie zewnętrznym. Więc dane wyobrażenia w umyśle naszym wywołują inne, jeżeli w rzeczywistości odpowiadające im zjawiska towarzyszą sobie mniej lub więcej stale w przestrzeni, lub następują po sobie w czasie. Naprzykład myśl o mrozie kojarzy się z myślą o śniegu; myśl o chorobie z myślą o śmierci i t. p. Wogóle, im więcej łączników posiadają dwa różne wyobrażenia lub pojęcia, czyli im większe jest ich wzajemne podobieństwo, tem łatwiej wywołują się one wzajemnie w pamięci. Wydaje się to paradoksem, a jednak pomiędzy niepodobnemi do siebie zjawiskami największe jeszcze podobieństwo posiadają zjawiska, wyobrażenia lub pojęcia wprost sobie przeciwne, biegunowo przeciwstawne, a to dla tego, że są położone niejako na *jednej* linii i *równie* odległe od punktu środkowego i t. d. I dlatego podobnie-

szemi są pojęcia miłości i nienawiści, niż miłości i zemsty, podobniejszemi zemsty i przebaczenia, niż zemsty i litości, jasności i ciemności niż jasności i zmierzchu, białego i czarnego, niż białego i żółtego. Im żywszem i bujniejszym uposażony jest osobnik kojarzeniem się myśli — tem drobniejsze podobieństwa i tem bardziej ukryte przeciwności wyobrażeń i pojęć wzajem się wywołują. Otóż intuicyja polega na tem, że w olbrzymio wielkiem nagromadzeniu wibrujące pod progiem świadomości wyobrażenia i pojęcia zapamiętane, najdrobniejszymi punktami styczniemi wzajem nader szybko się wywołują i wpadają wprost wybuchowo w dziedzinę świadomości. I dlatego do chwili zbudzenia się wielkiego pomysłu, sam twórca o nim nie wiedział, ale tkwił już cały gotowy doń materiały w bogatej jego pamięci.

I nie ten mówca posiada wielką pamięć, który nader długiej mowy na pamięć się nauczył i bez zająknięcia się recytował ją przez całą godzinę, ale ten, który mowę godziną improwizował. Pierwszy bowiem miał w pamięci tyle tylko słów i myśli ile w godzinnej mowie można fizycznie wypowiedzieć, drugi natomiast mieć musiał w pogotowiu pamięci swojej daleko więcej myśli i słów, a przy pomocy nadzwyczaj bystrej pracy kojarzeniowej dobierał z nich te tylko, które mu się wydały najbardziej odpowiedniami do celu, a które jeszcze wypełniły całą godzinę.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Maurycy Jokaj.

ROMANS MOJEGO ŻYCIA.



Motto: „W każdym człowieku jest dwu ludzi: zły i dobry. Zły daje zawsze dobre rady, a dobry jak najgłupsze. Ale jest władza wyższa, która najgłupsze czyni na dobre obraca.“

Ożeniłem się.

Po raz drugi. Pomimo gwałtownych protestów moich przyjaciół. Uznaję i oceniam ich dobre chęci. Moje pierwsze małżeństwo zostało zawarte przed laty pięćdziesięciu, także wśród protestów. W kronikach naszych dziejów narodowych jest data niezapomniana: 15-ty Marca 1848 r.

W wilgę tego dnia kilku zapaleńców postanowiło ogłosić wolność Węgier.

Nie mogło być myśli niedorzeczniejszej. Gdyby nie została uwieńczona powodzeniem, po wiek wieków święconoby ten dzień, jako dzień szaleńców. Miałem noc niespokojną. Zły i dobry człowiek borykali się w mej duszy. Pierwszy mi szeptał:

— Nie bądź głupi, uciekaj z Pesztu, schowaj się w swoim miejscu rodzinnem, w swoim pokoiku, gdzie stoi twoje spokojne łóżko, zabierz się do rzemiosła, które twój ojciec do późnego wieku prowadził i weź rozbrat z niedoścignionemi marzeniami!

Gdybym był usłuchał złego człowieka, który mi dawał dobre rady, nie byłbym napisał moich stu tomów, byłbym dziś burmistrzem w Komornie. Nie zła posada, przyznaję.

Ale ja posłuchałem głosu dobrego człowieka, który mi dawał rady szalone; 50-ta rocznica te-

go, com wówczas uczynił, święcona była w roku zeszyłym przez cały naród węgierski.

Onego dnia ujrzałem po raz pierwszy na scenie Różę Laborfalvy. Wtedy to z rąk jej dostałem mój pierwszy order: wstęgę o barwach narodowych. To były nasze zaręczyny. Od pierwszego wejrzenia pokochaliśmy się tak, jak mogą jedynie kochać się dwie dusze czyste: jedno było uzupełnieniem drugiego.

Nie robiliśmy tajemnicy z naszej miłości. Moi przyjaciele, znając mnie, wiedzieli, że za sercem płacić zwykłem i że umiem stać przy swoim, a jednak wszyscy mi odradzali, mówiąc, że ten związek jest szaleństwem.

Nie będę tu powtarzał niecných oskarżeń, miotanych na Różę przez mych przyjaciół.

Tem mniej powtarzać będę to, co mi o niej mówili niechętni. Ten dowodził, że ona ma więcej długów, niż włosów na głowie (a miała tak bujne spłoty!); drugi starał się mnie do niej zrazić, twierdząc, że jest oschła, zimna, że przy niej zamarznię. Mój lekarz powstrzymywał mnie, przekładając, że nie mam prawa żenić się, bom niedawno powstał z nieuleczalnej choroby.

Wszyscy mówili o różnicy wieku, szermowali argumentem, że moja narzeczona ma o siedm lat więcej odemnie.

— Jesteś żółtodzióbkiem, a ona matroną — powtarzali mi do znudzenia.

Nie słuchałem głosu rozsądku, nie słuchałem tak zwanych „dobrych rad“. Ogłoszono mnie za szaleńca.

Wreszcie wrogowie i przyjaciele postanowili użyć środków gwałtownych.

Mój najdroższy przyjaciel, Aleksander Petöfi, którego dusza zrosła się z moją, przywiózł do Pesztu moją matkę, z którą nie było żartów, i moją drogą siostrę. On sam zaprowadził je do naszej kryjówki w lesie, o której nikt oprócz niego nie wiedział. Tu przebywałem z moją narzeczoną.

Ale dowiedzieliśmy się w czas o zdradzie. Siedzieliśmy właśnie przy stole, pod lipą. Zdążyłem wpaść do chatki po kapelusz — z narodowymi wstęgami, które mi Róża przypięła na pamiątkę 15-go Marca. Ciągnąc za sobą narzeczoną, pędziłem przez leśne korzenie i urwiska.

Byłem ścigany, prześladowany. I przez kogo? Przez kochających i ukochanych; przez dzielną i złą matkę, przez drogą siostrę i najlepszego przyjaciela.

Być prześladowanym przez wrogów — to już okropne. Ale przez swoich, przez najbliższych, to się z niczem porównać nie da.

A jednak Róża Laborfalvy została moją żoną. Zaprowadziłem ją do małej wioszczy i tam z nią ślub wziąłem. Naszymi dróżkami i świadkami byli zakrystyan i organista. (Ta wieś nazywa się Pils-Toaba). Wszyscy ciskali na nas gromy, wszyscy, oprócz dwojga ludzi: mego brata Karola, który w owym dniu napisał do mnie piękną laciną (aby go nie zrozumiały kobiety): „Choć obraziłeś matkę, ja ciebie nie opuszczę.“

I dotrzymał słowa. W najgorszych chwilach zawsze stał przy mnie.

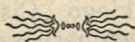
Drugim był — mój przyjaciel Edward Sziglgeti — on mi dostarczył dokumentów potrzebnych do ślubu.

Tak się ożeniłem przed laty 51. A kobieta, z którą mnie chciano gwałtem rozłączyć, była busolą w mem życiu, wierną i kochającą towarzyszką, była źródłem mego natchnienia, moją chlubą. Nie żalowałem nigdy, że nie posłuchałem głosu rozsądku.

W półtora roku po naszym ślubie przyjechała do nas matka, aby moją żonę nazwać „swoją córką“ i zaprosić nas oboje do starego domu w Komornie.

A dlaczego?

Bo ona zasługiwała na to.



Święto dzieci i kwiatów.



Niezmiernie miłe wrażenie pozostawiła po sobie uroczystość rozdawania dzieciom roślin do hodowania, urządzona w dniu 29-ym Maja przez Towarzystwo ogrodnicze, powodowane myślą wczesnego rozwijania zamiłowania do kwiatów i starannego ich pielęgnowania.

Pięćset dzieci z pośród najrozmaitszych warstw naszej ludności, od lat 6-ciu do 14-tu zgromadziło się na placyku pod estradą koncertową, a jak łatwo przewidzieć było można, przewaga liczebna była po stronie dziewczyn. Całe pensye pospieszyły też na tę śliczną i celową Majową uroczystość.

Kontrolę wchodzących prowadziło grono pań, zawsze gotowych do niesienia usług społecznych, przy pomocy członków Towarzystwa.

Pod estradą rozstawiono pięć stołów z roślinkami, przeznaczonemi do rozdania. Wybrano na to: pierwiosnki, pelargonie, ulanki, czyli fuksye, fikusy i draceny. Zanim jednak przystąpiono do rozdawania, p. Piotr Hoser, wiceprezes Towarzystwa wszedł na lawę, znajdującą się przed estradą i w serdecznym przemówieniu do zgromadzonych dzieci objaśnił cel uroczystości.

Powołując się na to, że człowiek bezwiednie kocha przyrodę, mówił dzieciom, aby uczyły się kochać każdą roślinkę, każdy kwiatek i aby jednocześnie uczyły się pielęgnować je, pomagać im do rozwoju. Dalej przystępnie i treściwie udzielał wskazówek, co czynić należy, aby roślina hodowała się zdrowo, poglądowo zaś przedstawiał, jak roślina przesadzać należy i w jaki sposób rozpoznawać, kiedy tego zachodzi potrzeba. Tych ostatnich wskazówek, przy każdym stole udzielali inni członkowie Towarzystwa.

Obdarzone roślinką dziecko, którego wiek, imię i nazwisko wraz z gatunkiem roślinki zapisane zostało, proszone jest, aby bez względu na wyniki starań około powierzonego mu kwiatka, zechciało stawić się w dniu oznaczonym, na wezwanie Towarzystwa i hodowaną przez siebie roślinkę okazać. Najlepsze okazy zdobędą nagrody, nieudane wyniki zostaną objaśnione, i o ile się da, naprawione.

Razem z roślinką w doniczce, każde dziecko otrzymało drukowaną instrukcję, przypominającą mu zachęcające słowa p. Hosera i wskazującą szczegółowo troskliwość, którą roślinkę wytrwale otaczać należy.

Idea szerzenia zamiłowania do kwiatów i ich hodowli w umysłach i sercach dziecięcych utrwaliła się, miejmy nadzieję, przez tę śliczną uroczystość majową na silnych podstawach. Myśl piękna, znalazła, jak to widzieliśmy, uznanie wśród dziatwy samej, a także wśród rodziców i wychowawców, niechaj więc oni dopomogą, aby młodociane duszyczki rozwijały w sobie poczucie przyjętego na siebie obowiązku.

Święto, jak je nazywam, kwiatów i dzieci, to nie tylko myśl piękna, ale i zająca. Dziecko, z niesłabnącą gorliwością hodujące kwiatek, nabywa wielkiej cnoty wytrwania, a zarazem wyradza w sobie pewne przywiązanie

do tego, co mu przynosi przyroda, uczy się miłować jej dary. Dziecko, miłujące roślinkę hodowaną przez siebie, nie podepce kwiatów w cudzym ogrodzie, nie złamie gałązki, dlatego, że na niej barwny rozwinął się kwiatek. Idźmy dalej, szanując roślinki, kwiaty, dziecko bezwiednie rozwija w sobie poszanowanie cudzej własności, — i tak dalej, dalej, nizamy perełki kultury.

Z. S.



Z Salonu sztuki S. Kulikowskiego.



Jakoś tak się złożyło, że dotychczas nie miałem sposobności pisać w „Bluszczu“ o „nieustającej wystawie dzieł sztuki“, otwartej przez p. Stefana Kulikowskiego przy ulicy Marszałkowskiej.

Ale lepiej późno przyznać się do błędu, niż nigdy, a błędem to bezsprzecznie było, bo każde usiłowanie, mające na oku rozwój naszej sztuki, byle szczerze podjęte, zasługuje, co najmniej, na bezstronne rozpatrzenie.

Słyszałem głosy: Na co jeszcze trzeci salon w Warszawie? Mamy już dwa: „Zachęty“ i Krywulę; wobec ubóstwa ilościowego naszej produkcji artystycznej, to zupełnie niepotrzebne; taka decentralizacja miejsc, gdzie można dzieła sztuki oglądać, to tylko zabierająca czas niewygoda dla publiczności...

Zdaje mi się, że taki pogląd na tę sprawę nie ma za sobą słuszności.

Im więcej ognisk kultury, tem więcej czynników kultury. Społeczeństwa żadne rozwoju zrozumiały już dawno, że nigdy za dużo uczelni piękna, jakimi są artystyczne wystawy, podobnie, jak nigdy za dużo teatrów.

Chodzi tylko o to, aby kierownictwo takich instytucji spoczywało w uzdolnionych rękach.

Krótkowidzom może się jedynie zdawać, że konkurencja w dziedzinie sztuki może być szkodliwą.

* * *

Urządzenie wystawy przy ulicy Marszałkowskiej odznacza się dyskretnym smakiem. P. Kulikowskiemu w kierownictwie „salonu“ pomaga utalentowany malarz, p. Kazimierz Krzyżanowski.

*

Odświeżyłem sobie w pamięci „Sonety krymskie“, te przedziwne piękne obrazy, malowane... słowem genialnem.

Na wystawie przy ulicy Marszałkowskiej znajduje się od kilku dni cykl Włodzimierza Nałęcza, malowany w Krymie, pod wpływem sonetów Mickiewiczowskich.

Co piękniejsze? czy obrazy stworzone słowami wieszczą, czy malunki powstałe z harmonii soczystych barw? Niebezpieczne zapytanie. Zresztą w sztuce porównania nie wskazane.

Trudne przedsięwzięcie udało się artyście. Cykl jego krymski, to piękne, wartościowe dzieło.

Obrazy Nałęcza, to bynajmniej nie ilustracje sonetów, ale pieśni kolorowe, które mają być wtórem do pieśni wieszczą, do pieśni wspomnień i przepięknej przyrody krymskiej.

I przyznać trzeba, że to wtórny, piękny.

W „Stepy akermanskie“ udało się artyście zakląć dużo z tęsknej melancholii sonetu Mickiewiczą...

„Już mrok zapada, nigdzie drogi ni kurhanu...
„Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi;
„Tam zdała błyszczy obłok, tam jutrenka wschodzi;
„To błyszczy Dniestr, to weszła lampa Akermanu...

I cisza jest na obrazie, taka cisza, że:

„Słyszę, kiedy się motyl kołysa na trawie,
„Kiedy wąż ślizką piersią dotyka się ziola...

„Stepy akermanskie“ Nałęcza mają w sobie siłę suggestyjonowania widza, a fakt ten jest dowodem, że są istotnem dziełem sztuki, bo tylko ono ma moc suggestyjonującą.

Dużo siły żywiołowej i dumy jest w obrazie „Czatyrdahu.“ To też szczęśliwy wtór do słów Mickiewiczą; gdyśmy czytali jego strofy o tej największej górze w Krymie, snuło nam się w myśli równie surowe, i butne, i zimne widziadło, jak to, które widzimy na płótnie Nałęcza.

Pięknymi obrazami są też: „Bakczysaraj w nocy“ i „Bajdary.“ Zwłaszcza „Bakczysaraj“ bardzo nastrojowy.

Najmniej udatnym wtórem do poetycznego tematu, jest — według mojego zdania — tryptyk „Mogily Haremu.“ Wydał mi się on za zimny, za sztywny. Mogily te nie przemówiły do mnie, nie patrzałem na nie, jak o tem mowa w sonecie... „ze łzami.“

I jeszcze jedna uwaga. Wobec artysty tej miary, jakim się okazał p. Nałęcz w swym cyklu, wolno być szczerem. Artysta na dwóch płótnach użył postaci ludzkich, jako punktów, na których spocząć musi oko widza. To mi się wydaje błędem, bo na tych płótnach główną jest przeciw przedewszystkiem przyroda, a nie ludzie. Po cóż więc rozpraszać uwagę niewyraźnemi, nie nie mówiącymi sylwetkami.

Koloryt i technika p. Nałęcza doskonałe, jak to już miałem sposobność szerzej zaznaczyć, omawiając w jednym z poprzednich numerów „Bluszczu“ jego obraz pod tytułem „Łódź-widmo.“ * * *

Oprócz prac Włodzimierza Nałęcza znajduje się obecnie na wystawie przy ulicy Marszałkowskiej wcale pokaźna liczba dzieł wartościowych innych malarzy.

Do najlepszych obrazów zaliczyłbym „Kwiatciarkę“ Słupskiego. Oczy tej dziewczyny prawie Lenbachowskie, szczegóły malowane bardzo starannie. Koloryt soczysty i miękki.

„Szwaczka przy piecu“, nadesłana przez p. Ostojewskiego, to małe cacko. Rysunek i koloryt przewyborny. Postać szwaczki bardzo charakterystyczna, nawet o znamienem wygięciu strudzonych pleców artysta nie zapomniał. Dużo jest duszy w tym małym obrazku.

Doskonałym akwarelistą już jest, a pewno jeszcze swą sztukę wydoskonalili p. Rayski. W jego „Chłopie“ dużo brawury; w jego „Św. Janie“ dużo szczerzej poezji.

Doskonałą akwarellą jest też „Pan Skrzetuski“ Czesława Jankowskiego.

Ludomir Benedyktynowicz nadesłał obraz zatytułowany „Jagoda.“ Ładna praca. Przez gąszcz soczystą, bujną, przedziera się wiejska dziewczyna. Dobrze podpatrzona i szczerze odczuła natura, a przytem technika doskonała.

M. Trzebiński znowu nie zawiódł. W jego „Jarmarku“ koloryt doskonały, dużo werwy, a przytem prawda.

Krasnodębski, uczeń Malczewskiego, nie robi wstydu swojemu wielkiemu nauczycielowi. Wszystkie prace tego młodego artysty mają jakiś bardzo indywidualny wdzięk, a są zarazem dobrze rysowane i malowane.

Nie małej wartości są też prace Wł. Jasieńskiego. Las, w którym są jego „Rogacze“, i prawdziwy, i piękny, — nasz las wśród jesieni.

Ładnym obrazem, posiadającym doskonałą perspektywę, choć może nieco za słodkim w kolorcie, jest „Młyn“ Popowskiego.

Alchimowicz nadesłał doskonałą rzecz: Wąwóz w Pirenejach. Austen dobrze malowane „Wejście do portu“, a H. Piątkowski znakomity portret kobiety.

K. Krzyżanowskiego „Cisza na morzu“, to nie gładki, uśmiechnięty szablon, ale obraz szczerze odczuty.

* * *

(Salon sztuki Kulikowskiego. — Niedziela. — Godziny popołudniowe. — Osób nie dużo, między niemi trzech studentów.

STUDENT A. (ziewając). Cóż mi z tego, że tu wstęp darmo dla studentów w niedzielę, kiedy tu nie niema.

STUDENT B. O, proszę cię, obrazy bardzo ładna rzecz, to kształci... Ja bardzo lubię, tak się jakoś marzy...

STUDENT C. „Facetki“ wszystkie mają „facetów“, ani poczkować...

STUDENT A. Jedyne obraz, który jako tako, to ta „Leda.“

STUDENT C. Co ty gadasz? To jakiś kokos ten malarz. Cóż to za „Leda“ bez łabędzia?

STUDENT B. O, daj spokój! Żmurko, to wielki artysta! Popatrzcie tylko...

STUDENT A. Nudny jesteś. Do widzenia. Wole pójść do „Udziałówki“ i... patrzeć na wracających z wyścigów.

STUDENT C. A ja na... żywe Ledy.

PAN KULIKOWSKI (do wychodzących studentów A. i C.): A niech panowie przypomną kollegom, że na naszą wystawę w niedzielę wstęp wolny...

Gilbert.



Przegląd teatralny.



Konkursy zawodza. — Instynkt publiczności. — Brak poezji. — Uwagi p. Toporskiego o dramacie. — Bankructwo komedii. — List p. Kotarbińskiego. — Dzisiejsi komedyopisarze. — Ignacy Grabowski. — Oczekiwanie. — „Ananke“ M. Hertza. — Jubileusz Frenkla. — Bohater bez zasad. — Krotochwila. — Gość nielada.

„Sztuki konkursowe nie mają szczęścia...“ Tak się to mówi zwykle; w samej rzeczy, sztuki z ostatnich plonów konkursowych nie posiadają warunków, któreby im zapewniały powodzenie.

Wszystkie te utwory, po mniej lub więcej udatnych „próbach“ i usiłowaniach utrzymania się na repertuarze, szybko zeszyły z afisza, bezpowrotnie pogrzebane.

Każda prawie z tych sztuk nosiła na sobie piętno niezaprzeczanej wartości literackiej i dużej kultury, mimo to żadna z nich nie doznała prawdziwego powodzenia, pomimo głośnych oklasków, jakimi przyjaciele i wyznawcy pewnych haseł przyjmowali na premierach sympatyczne dla siebie dzieła.

Publiczność nie dała się jednak temi manifestacyami w błąd wprowadzić, ani ująć; tłumy zebranych na premierach widzów przetrząsały się prędko, drugie przedstawienie odbywało się przy niepełnej sali, — po kilku wieczorach reżyseria zdejmowała sztukę z repertuaru.

Działo się to nie tylko z utworami konkursowymi: coraz częściej stwierdzać musimy upadek sztuk doby współczesnej, która o sobie ma wygórowane mniemanie i dużo o sobie mówi, nie jest jednak zdolną o potęgę swej nas przekonać. Publiczność, która się kilkakrotnie zawiódła na szumnych zapowiedziach, teraz z rezerwą zachowuje się względem każdej nowości, swego sądu słucha, własnymi wrażeniami się kieruje i — najlepiej na tem wychodzi.

Muszą być przecież jakieś wewnętrzne przyczyny, które taki los autorom i ich dziełom gotują. Są niewątpliwie. Wspominałem o nich niejednokrotnie w swoich wrażeniach artystycznych, któremi się dzieliłem na tem miejscu z czytelnikami „Bluszczu.“

Przyczyny te wypływają z głębi duszy współczesnego widza, który od utworów dramatycznych, granych na scenie, wymaga innej atmosfery, innych uczuć, innych poglądów, zasad.

Widz, krótko mówiąc, od sztuki żąda — poe-

zyi, której w dzisiejszej literaturze dramatycznej nie znajduje — i od sceny się odwraca. Publiczność chciałaby uczęszczać do teatru, jak do ogrodu: pragnęłaby napawać się tam zapachem sztuki podobnej do kwiatów.

Tymczasem zamiast upragnionej woni, ze sceny wydobywają się wyziewy „dokumentów” życia, przykre i niepożądane. Cóż dziwnego, iż publiczność niechętnym okiem spoziera na takie objawy „twórczości” dramatopisarskiej i traci względem niej zaufanie.

W sprawie współczesnej literatury scenicznej toczą się ostatnimi czasy zacięte spory; świeżo odezwał się jeszcze głos jeden, który ma za sobą dużo słuszności i warto go posłuchać.

Mówię o artykule p. J. Toporskiego w „Wędrówcu,” p. t. „Dramat współczesny.” Autor zaznacza na wstępie, iż dramat dzisiejszy chce wypowiedzieć więcej, niż może.

Poezja i sztuka społeczna — pisze p. Toporski — odrzuciły zjawiska konkretne, indywidualne, przypadkowe, a dążą do wypowiedzenia tego, co jest w zjawiskach stałe i niezmiennie; przedmiot ich stanowi nie zewnętrzny fakt życiowy, ale raczej jego istota, to, co znajduje się po za faktem w duszy ludzkiej. Sztuka dzisiejsza sięga więc głęboko w tajniki uczuć i myśli, aby wydobyć z nich najsztudniej, najbardziej delikatne, często nieuchwytnie tony. Już jej nie wystarcza gruba psychologia dawniejszych czasów. Siega ona głębiej na dno duszy ludzkiej, aby wydobyć z tamtąd wszystko, co jest ludzkie i nadludzkie. Jest to postępek. Być może, myślę się, ale według mego zdania, dramat do tego postępu jest niezdolny.

Dramat posługuje się do swoich celów przedstawieniem życia, a więc zewnętrznych stosunków ludzkich. Widz ma przed oczyma takie samo życie, jak i po za sceną. Nie wchodzi on w człowieka, ale słyszy tylko jego słowa, widzi jego gesta i grę twarzy. Autor za pomocą tych środków i sytuacji daje nam poznać bohaterów swoich i myśl swego dramatu.

Środki te, jak tego dowodzi p. Toporski, nie są odpowiednie do wyrażenia uczuć subtelnych i złożonych. Ludzie nie znają się wzajemnie, jako jednostki, ale tylko jako gatunek. Najsztudniejszy człowiek nie odczuwa subtelności drugiego człowieka; więcej nawet, on ją odpycha z niechęcią, ona go gniewa. Wgłębiać się w każdą duszę oddzielnie — doprawdy, życie jest na to za krótkie! I brak nam środków do takiego poznania. Każdy wyraz jest już pojęciem gatunkowym, więc jakże za pomocą wyrazów wypowiedzieć można to, co w duszy ludzkiej jest tak nadzwyczajnie osobiste, często nawet nieświadomione? A to właśnie chce wypowiedzieć sztuka dzisiejsza. Uduje jej się to w malarstwie, rzeźbie, poezji lirycznej, muzyce, czasami w powieści. Ale tam albo niema wyrazów, lecz symboliczne sposoby oddziaływania na widza czy słuchacza, albo autor tak bezpośrednio od siebie przemawia do czytelnika, że może wypowiedzieć to, co ma w duszy.

Ale dramat odtwarza życie. Tutaj przemawiają ludzie do ludzi, i my wiedzieć możemy o nich tyle tylko, ile wiemy o naszych bliźnich w życiu, jeżeli nie mniej, więc poznać umiemy tylko tę grubą, zewnętrzną, gatunkową psychologię, którą dają nam stosunki z ludźmi. Tutaj nie pomoże ani mimika, ani „he, he,” ani „hu hu,” ani kropki; nie wiele one mi wytłumaczają, tak samo zupełnie, jak w życiu.

Nie wiele pomoże i nowoczesny dyalog dyskretny i bardziej naturalny. Nie wypowie on nigdy subtelności uczuć i myśli. Dramat też zaczyna powracać do dawnego dyalogu, do „literatury.” Wszak powrócił do niej jeden z najgłębszych twórców dramatu nowoczesnego — Maeterlinck, wkrótce zapewne powrócą i inni. Dramat stanie się tem, czem

być może, odtworzeniem życia w jego ryśach zewnętrznych. Słuchacz może sobie snuć z niego wnioski dowolne, nawet najgłębsze, ale to jest zasługą słuchacza, nie dramatu.

Autorowie nowoczesni chcieli nań włożyć ciężary, których on udźwignąć nie mógł i dla tego w ostatnich czasach *sztuk jest wiele, ale dobrych prawie niema.*

Zwróćcie — kończy p. Toporski — sztuce dramatycznej jej właściwe ograniczone zadanie, a będzie lepiej.

Jest to sąd trafny i dający do myślenia. Ale oto, i z drugiej strony, odzywa się głos przeciwny i godny zastanowienia.

P. Józef Kotarbiński, wybitny krytyk, artysta i kierownik teatru krakowskiego, wystosował przed kilku tygodniami list otwarty w „Kurierze Warszawskim” do p. Władysława Rabskiego, z powodu artykułu tegoż p. t. „Bankructwo Komedyi polskiej.”

P. Kotarbiński stwierdza, że brak dobrych komedij jest powszechną klęską scen europejskich. Publiczność ich pragnie, teatry potrzebują — tymczasem niema w tym kierunku talentów twórczych. Teatr francuski, który stworzył klasyczną komedię nowoczesną, jest dziwnie w tym kierunku jałowy. Spadkobiercy Molière’a i Beaumarchais’go piszą dzisiaj karkołomne farsy, nudne sztuki tendencyjne, albo, jak Capus, utwory czysto paryskie, mało zajmujące po za Francją. W Niemczech jedynym komedjopisarzem świetniejszym jest Otto Ernst, autor „Dyrektora Flachsmana,” także trochę zbyt germański.

Nawiasem wspomnieć wypada, iż przed kilku tygodniami grono amatorów, pod kierunkiem p. K. Hoffmana odegrało z wybitnym powodzeniem zajmującą komedię Ernsta p. t. „Sprawiedliwość,” znaną czytelnikom „Bluszczu” z doskonałego przekładu M. Gawalewicza.

A u nas niema w tej chwili żadnego nowego talentu, któryby chciał kroczyć śladami Fredrów, Bliźnińskiego i Bałuckiego. Moglibyśmy i teraz zdobyć się na literaturę sceniczną pogodniejszą, któraby odwracała oczy nasze od nędzy wieku, łącząc się bardziej z życiem naturalnym, gdyby autorowie nie ulegali *modzie* literackiej, gdyby niektórzy pisarze nowsi chcieli zapomnieć o symbolach, egzotykcach, wizjonerstwie, erotomanii, o całym sztucznym i pretensjonalnym przyborze dekadentów i symbolistów, a chcieli patrzeć na życie własnymi oczyma i tworzyć według własnego instynktu.

W naszej literaturze najnowszej mamy zbyt częste przykłady, że autorowie zatracają w sobie cenny instynkt twórczy, idąc za modą, lub wkraczają w sferę sprzeczną naturze ich talentu. Lucyan Rydel np. w prześlizcznym dramacie: „Z dobrego serca,” — w scenach ludowych „Zaczarowanego koła,” okazał rodzimą, twórczą siłę, talent szczerzy, realistyczny, biorący materiał do sztuki z pierwszej ręki, z powszednich wrażeń, uszlachetniony technieniem poezji. Lecz w ostatnich dramatach dał ujście zapędom lirycznym, wkroczył w sferę uczuć jednostajnie nastrojowych, dał regularne i wytwornie opracowane kompozycje literackie, ale nie dzieła sztuki żywotnej.

J. A. Kisielewski, który tak świetnie rozpoczął zawód sztukami: „W sieci,” „Karykatury,” który ma wszystkie warunki, aby pisać komedie, pogłębione i wysubtelnione, dał się w „Sonacie” skusić nastrojowi i symbolom, uległ *modzie*, dał się wypaczyć i zamilkł.

Wojciech Szukiewicz w „Uludzie” zaczął zawód dramatopisarski świetnie, dał kipiące życie i werwą wizerunki cyganerii malarzkiej, potem wkroczył w sferę mglistej symboliki.

Zapolska w „Żabusi” dała dowody, że mogłaby napisać dobrą komedię, ale ona chce wywołać wrażenie silne, czasem goni za sensacją, nie ma równowagi.

Bolesław Gorczyński, autor „Nocy lipcowej,” napisał „Bagienko,” sztukę z dużymi zaletami, z dyalogiem żywym i naturalnym, pełną subtelnej ironii. Od niego możemy się spodziewać dobrych komedij.

W zapatrywaniach powyżej wyluszczonych, ma p. Kotarbiński zupełną słuszność; dodałbym tu jeszcze jedno nazwisko urodzonego komedjopisarza. Mam na myśli Ignacego Grabowskiego, którego kilka utworów, wystawionych na scenie, świadczy dowodnie, iż młody ten autor posiada wszelkie dane po temu, aby stworzyć typową komedię współczesną, w duchu i tradycji Bliźnińskiego. Tkwi w nim ta sama skłonność, to samo usposobienie, to samo widzenie rzeczy, — tylko, oczywiście, posunięte naprzód o pół wieku, rozpoznające świat dzisiejszy w barwach współczesnych. Jeżeli talent niezaprzeczony Ignacego Grabowskiego rozwinie się pomyślnie, jeżeli znajdzie pole szerokie do lotu, literatura komedjowa znajdzie w nim niepospolitą, a tak pożądaną siłę.

Po tych autorach, którzy nie poddali głowy w jarzmo modnego pesymizmu, którzy wierzą w moc swego ducha i lotność swych skrzydeł, spodziewać się należy, iż się szybko zabrają do dobroczynnej, obywatelskiej pracy artystyczno-literackiej i piśmienniczej, naszemu dostarczą dzieł pięknych, oświeconych słońcem nieba naszego, osnuty na tle życia naszej ziemi, która rodzić może czasami kłakol, ale posiada łany całe zboża zieleniącego na wiosnę, a przynoszącego chleb powszedni na jesień i zimę.

W oczekiwaniu na ten plon (oby był jak najobfitszy!) musimy się karmić tem, co chwila bieżąca daje. Pokarm to ani smaczny, ani zdrowy. Bo niechże mi kto wykaże, jaki pożytek wypływa z takiej baśni dramatycznej p. Mieczysława Hertza, p. t. „Ananke,” odznaczonej na konkursie, a granej przez czas krótki na scenie warszawskiej?

Utwór przenika jakaś beznadziejna rozpacz. Na nic się nie przydadzą wszelkie wysiłki natury ludzkiej, dążącej do ideału: nie dojdziemy tam na te wyżyny dobra, prawdy i piękna. Napróżno człowiek przedsięwzię akcję, napróżno wierzy w zwycięstwo dobra nad złem — rzeczywistość rozbija jego wolę, wichrem chłodnym rozpędzi jego złudzenia.

To nie Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, to nie Chrystus zstąpił na ziemię, aby odkupić błędy ludzkie, z pychy i nieposłuszeństwa zrodzone, to nie człowiek powinien uderzyć się w piersi, czołem w prochu się ukorzyć i błagać przebaczenia! Po nad wszystkim na ziemi i w wodzie, po nad wszystkim na niebie, po nad Zeusem nawet — panuje wszechwładna złoźnica Ananke, która nie pozwala aby człowiek był dobry, aby mógł zostać dobrym, obawia się bowiem, iż mógłby zrównać się z bogami. Ananke każe Zeusowi ulepić człowieka z błota, by w sobie nosił zarodek zła na zawsze.

Wola nie odgrywa tu żadnej roli, nie jest w stanie nie zmienić w rozwoju wypadków; człowiek, jak kamień w przepaść rzucony, toczy się po skale bez przerwy, aż się stoczy na dno samo. Nic nie potrafi naprawić natury złej, choćby Filandros, który ufa w odrodzenie, roztoczył nad światem promienieja najczystszej miłości i przebaczenia. Zawiedzie go nadzieja, zdradzi Kakistos-zbrodniarz i Lagne niepoprawna, odwróci się od niego przyjaciele, odstąpi lud, dawniej go ubóstwiający. Ananke tylko tryumfuje nad wszystkim i zwycięża.

Sztuka ta posiada niewątpliwe zalety literackie, wskazuje iż twórca jej ma wysoką kulturę, włada dobrze piórem i posiada zdolności w kierunku filozoficznych dociekań i filozoficznej retoryki, ale z niej wieje lodowaty podmuch krainy śmierci.

Mieliśmy w tych czasach jubileusz artysty, który w ciągu 25-ciu lat pracował na trzech

scenach polskich z wielkim pożytkiem dla sztuki. Tym młodym jubilatem jest Mieczysław Frenkiel. Wychowaniec szkoły Derynga, w r. 1879 wystąpił po raz pierwszy publicznie i zwrócił na siebie uwagę znawców. Obdarzony doskonałymi warunkami scenicznymi, Frenkiel niebawem zajął w świecie teatralnym wybitne stanowisko, które potem zmieniło się na pierwszorzędne. Zaangażowany przez Stanisława Koźmiana do Krakowa, przebył tam do r. 1885-go, ztamtąd zaś Jan Dobrzański pociągnął go do Lwowa, gdzie na scenie Skarbowskiej rozwijał przez lat sześć niepospolitą działalność.

Zawakowało w tej dobie miejsce w Rozmaitościach, opróżnione przez śmierć Żółkowskiego. Ówczesny reżyser naszej sceny, Tartakiewicz, upatrzył sobie „następcę” wielkiego komika i zciągnął Frenkla do Warszawy, która najpierw oceniła z uznaniem talent artysty, potem zaczęła coraz bardziej sympatyzować z nim, aż się ta sympatya w uwielbienie zamieniła. Frenkiel zdobył sobie całą publiczność na scenie, a szerokie koła towarzyskie w życiu prywatnym. Otoczyła go życzliwość serdeczna i gorąca; każda rola, każdy występ dawały widzom sposobność manifestowania swych uczuć szczerych względem artysty, przyjmowanego zawsze oklaskiem długotrwałym.

W tej zobopólnej harmonii pomiędzy Warszawą i artystą, Frenkiel doczekał się srebrnych godów ze sztuką.

W dniu 17-ym Maja, w Teatrze Wielkim, przepełnionym po brzegi, odbyło się przedstawienie benefisowe, na którym jubilat zbierał żniwo swej sumiennej pracy artystycznej i dowody szacunku ogólnego, jako człowiek.

Na benefis swój Frenkiel wybrał nową sztukę francuską Oktawiusza Mirbeau, p. t.: „Interes przedewszystkiem.”

Utwór ten miał we Francji wielkie powodzenie. Widzimy w nim wizerunek człowieka, dla którego w życiu istnieje tylko interes. Wszystko inne—to mniej lub więcej niepotrzebny dodatek. Pan Izidor Lechat jest spekulantem i aferzystą najgorszego gatunku. Łączy on w sobie instynkty tygrysa z postacią ludzką—jest „kotem” nie tylko z nazwiska, rzuca się z krwiożerczą namietnością na każdą ofiarę, zabija przeciwnika, oszukuje, kradnie.

Córka własna rzuca mu w twarz oskarżenie:

— Wszystko... wszystko, co tu jest, to łup i łzy... Złodzieju! złodzieju!

Dzielny to typ „gracza” doby dzisiejszej. Niezlomny on i nieustraszony!... Wychowany w zasadzie „moralności niezależnej,” nie obawiający się kary za złe uczynki, nie wierzący w życie nie z tego świata, załatwia się szybko z przeszkodami, zastępującymi mu drogę. Skrupułów nie posiada żadnych, względów nie uznaje, idzie naprzód po miliony, nie oszczędzając ani podstaw duszy, ani serca, ani związków krwi—nic... Zwierzę, nie człowiek, wcielenie idealne zwyrodniałej epoki.

Tu również zwycięża „Ananke,” ale nie dlatego, iżby natury ludzkiej nie naprawić nie mogło... Tu ludzie odrzucają wszelkie ideały i chętnie w błocie się tarzają, osłepieni blaskiem milionów. Kiedy w piersiach wygasły wszystkie iskry uczuć, kiedy sercem nie rządzi chrześcijańska moralność—tam w czynach musi się szerzyć zaraza namietności i złego. Dobrze jest czasem pokazać taką, jak Izidor Lechat, stoczoną przez robactwo postaci ludzką, w której już nie ludzkiego się nie znajduje. Nauka ztąd wypłynąć może dla wahających się i niepewnych—dobroczynna w skutkach. Pożytecznie jest niekiedy spojrzeć w zwierciadło.

Tytułową rolę w sztuce odegrał Frenkiel z ogromną plastyką ruchu i słowa. Izidor Lechat żył na scenie, działał, rozbijał, kłamał, oszukiwał—wstręt budził i obrzydzenie.

Wielki artysta-jubilat święcił prawdziwie zasłużony w tej roli tryumf. Obok niego, wyróżniała się doskonałą grą pani Barszczewska, odtwarzająca z głębokim odczuciem postać córki milionera.

Artyści krotochwili, pod sprężystą i pomysłową reżyserią p. Maryana Winklera, „pekają ze śmiechu” w coraz to świeższej farsie, a publiczność śmieje się też do rozpuku na tych utworach bez treści i sensu, a jednak zabawnych i wesołych. Wystawiono w tych czasach dwie krotochwile: „Sprawa Mathieu” Bernarda i „Zmiana żon” Bissona—obie płytkie i lekkie, przez czas dłuższy utrzymywały się na repertuarze, dzięki wybornej grze artystów, wśród których współzawodniczą z sobą: pp. Gasiński i Winkler.

Na widnokręgu artystycznym Warszawy ukazała się obecnie gwiazda pierwszorzędnej wielkości. Jest nią artysta sceny lwowskiej, p. Kazimierz Kamiński. Występy jego w Teatrze Letnim gromadzą tłumy publiczności, podziwiającej grę prawdziwego wirtuoza scenicznego.

O oryginalnym tym, wyjątkowym, mistrzowskim talencie pomówię szerzej następnym razem. Artysta jest tej miary, iż o nim godzi się napisać oddzielnie.

Adam Dobrowolski.



Pierwsza Wystawa sztuki dekoracyjnej, stosowanej do przemysłu.



Wielce przyjemną niespodzianką była dla mnie wystawa sztuki dekoracyjnej, złożona z okazów, wysłanych z pod rąk uczennic szkoły, założonej przed rokiem przez pannę Duninównę przy współdziałaniu specjalnie w sztuce dekoracyjnej wykształconej artystki, panny Chalus.

Panna Duninówna, sama, doświadczona już artystka-malarka, studiując w Paryżu sztukę dekoracyjnej, zapoznała się z panną Chalus, powzięła myśl założenia przy jej pomocy odpowiedniej szkoły w Warszawie i zamiar swój przed rokiem doprowadziła do skutku. Aczkolwiek p. Duninówna trudne swe i na gruncie naszym mało jeszcze uprawiane zadanie, rozpoczynała z podstawową znajomością rzeczy, a p. Chalus, wykształcona pod kierunkiem najznakomitszych artystów, na takich wzorach, jak Puvis de Chavanne, sama, poważny pedagog w swej sztuce, bo miewająca wykłady w Paryżkiej Akademii, przedstawiała dostateczną rękomię umiejętnego i gruntownego nauczania, nie reklamowały jednak przedwcześnie swej szkoły, lecz czekały wyniku rocznej swej pracy, uważając, że dobry wynik, to najlepsza i najpoważniejsza reklama.

Sztuka dekoracyjna, w ten sposób traktowana, jak to jest założeniem p. Chalus, daje się istotnie zastosować do najrozmaitszych gałęzi przemysłu i może dla kobiet u nas otworzyć nowe pole poważnej i korzystnej pracy.

Każde nowe przedsięwzięcie wymaga cierpliwości, wytrwania i wielkiej gorliwości, nie możemy obiecywać sobie, że uczennice panny Chalus odrazu wzorami swemi zaleją wszystkie, wzorów podobnych potrzebujące warsztaty, skoro jednak jeden rok pracy, pod kierunkiem uzdolnionej nauczycielki, wykazuje taki szereg udatnych okazów, skoro po pierwszym roku istnienia szkoły, znaleźli się już nabywcy na wzory zastosowane do tego i owego przemysłu, skoro świat przemysłowy okazał już pierwsze żywe zainteresowanie się

sztuką dekoracyjną, uprawianą przez uczennice p. Chalus, nie wątpimy, że z wolna, stopniowo, coraz szersze koła przyzwyczajając się będą do szukania na własnym gruncie tego, co albo za drogie pieniądze sprowadzane bywa od obcych, albo ze względu na wysokość ceny pozostaje niedostępne.

Sztukę dekoracyjną zastosować można ściśle nie tylko do samego przedmiotu, lecz i do zakreszonej ceny. Widzimy na przykład wzory, (te stanowią pierwsze studia kompozycji dekoracyjnej), złożone z samych prostych linii, powiązanych z sobą, zda się w niestruddzony, mało zawiły sposób, a jednak oryginalny i piękny. Po tych pierwszych kompozycjach prostotnych następują inne, coraz bardziej skomplikowane, a zawsze oparte na jakichś liniach podstawowych, będących tematem, zadawanym przez pannę Chalus, dalej idą stylizowane kwiaty, rośliny i najrozmaitsze twory, których znajdujemy w naturze bogactwo niewyczerpane.

Pierwsza wystawa sztuki dekoracyjnej, złożona z paruset okazów, obejmuje: wzory na dywany, kilimki, firanki, hafty (kołnierze), koronki (wachlarze), wyroby z majoliki, okładki do książek (ex-libris), tapety, fryzy, kapy, okucia metalowe, wyroby z kutego żelaza i innych metali, wyroby ze skóry, witraże i t. d.

Z prac, okazanych na wystawie, pomysłowością, oryginalnością, wykończeniem i doбором barw, wyróżniają się prace pań: Alfonsyny Kanigowskiej (fryz—stylizowane nasturcye, dywan z podobnymi motywami, witraż), Heleny Zielińskiej (wazon, kołnierz, okładka na książkę, obicie i t. d.), M. Dynowskiej (fryz, wachlarz, stolik, witraż), panny Brunier (dywanik, okładka na książkę), Dzielwulskiej (kołnierz, obicie, stolik, okładka na książkę), dalej prace pań: Sokołowskiej, Krassowskiej, Bąkowskiej i innych. (Niektóre okazy z prac powyższych podamy na pierwszej stronie dodatku w przyszłym numerze).

Panna Chalus, pozostająca zawsze w stosunkach z byłymi swymi profesorami z Akademii, udaje się na czas wakacyjny do Paryża, aby w środowisku ruchu artystycznego zaczerpnąć wzorów do nowych pomysłów w swej sztuce. Nie wątpimy, że dalsze wykazy pracy tej nowej a pożytecznej szkoły przedstawia rozwój, jakiego szczerze dla niej pragniemy, a karteczki, z napisem „sprzedane,” tu i tam na okazach tegorocznych dostrzeżone, niechaj będą zachętą, tak gwoździ realnym, materialnym zyskom, jak i gwoździ wytworzeniu nowej dziedziny pracy dla kobiet naszych.

Zofia Seidlerowa.



Kronika działalności kobiecej.



— Austro-Węgry. W ostatnich czterech kwartałach do uniwersytetów austriackich uczęszczało studentek 2517, z których 2107 przypada na wydział filozoficzny. Największa liczba studentek uczęszczała do uniwersytetu w Pradze czeskiej. Nader też znaczną liczbę słuchaczek, przeszło tysiąc, wykazały wyższe kursy dla kobiet we Lwowie i Krakowie.

— Kolonia. Związek kolońskich kobiet, propagujących reformę ubrania, wystąpił z wystawą specjalną w Salonach Muzeum Sztuki i Przemysłu. Podczas wystawy odbywały się odczyty o racjonalności reformy w odzieniu. Reforma wzięła tu inny nieco niż dotychczas, kierunek i być może łatwiej przez to do ogólnego smaku przemówi. Nie chodzi już o zatarcie linii, nazwanej „wcięciem,” ponieważ, przy wielu reformowanych

sukniach wystąpiły paski umieszczone w stanie, nie jak dotąd przez reformę wymagane było, pod samymi piersiami. Ustępstwo to nie wykracza przeciw higienie, albowiem reforma żadnych nie dopuszcza ścisłań. — Co do ornamentyki strojów reformowanych przedstawionych przez artystów i artystki, zawsze jeden i ten sam błąd zaznaczyć można, to jest, że aczkolwiek w wielu szczegółach niezaprzeczenie piękne, w całości sprawiają wrażenie teatralnej maskarady.

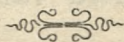
— Anglia. Znana dziennikarka i jedna z pierwszych kierowniczek ruchu kobiecego w Anglii, miss Frances Power-Cobbe zakończyła dni w swej uroczej, letniej siedzibie Hengwert, w księstwie Walii. Przeżyła lat 83. Ze śmiercią jej znika jedna z najwybitniejszych niewieści postaci współczesnej Anglii.

Już jako bardzo młoda dziewczyna piórem i słowem walczyła o prawa kobiety, walcząc zaś o nie walczyć też musiała z różnemi, przez wieki uświęconemi przesądami i zwyczajami. Otrzymała po śmierci ojca niewielki spadek, przynoszący jej 300 funtów rocznie, odłożyła pieniądze z lat paru i wybrała się w podróż po Francji, Szwajcarii i Włoszech, zwiedziła Egipt i Jerozolimę i po powrocie do rodzinnego kraju, oddała się niezmordowanemu umiłowanej idei, wywalczenia dla kobiet praw i swobód, jakich do czasów jej młodości nie znały. Zawzięła bliskie i bardzo przyjacielskie stosunki z miss Maryą Carpenter, która tak samo, jak miss Cobbe w Anglii, była przewodniczką ruchu kobiecego w Ameryce i zakładała właśnie w Bristolu pierwsze schronisko dla sierot i dla kobiet potrzebujących pracy.

W roku 1885 miss Cobbe wydała poważną, filozoficzną pracę, która w owym czasie zwróciła uwagę na głęboko myślącą autorkę.

Przez długie lata była jedną z najczynniejszych współpracowniczek „Daily News” — Londyńskiego wieczornego dziennika „Echo” i często dostarczała wstępnych artykułów do „Standarda.” — Dobro uciśnionych i maluczkich, podniesienie praw i zdobycie dla kobiety przywilejów, stawiających ją na równej społecznej szali z mężczyzną były zawsze myślą przewodnią zacnej i niezmordowanej w swej działalności pionierki ruchu kobiecego, który dziś w Anglii święcić może tryumf na wielu polach pracy.

Z. S.



Nasz ul.



— „Prawda” w n-rze 22-im, w feljtonie zatytułowanym „Dary wiosny,” skreślonym przez br., wytyka jedną z zakorzenionych wad społecznych: naszą opieszałość, biada nad tem, że od postanowienia do czynu mijają zwykle długie dni, miesiące, lata, podczas których napięcie energii słabnie, dobry zamiar ulega przedawnieniu i zamiast podjąć akcję natychmiastową, gnuśniejemy w bezczynności.

Gorzkie te, ale sprawiedliwe zarzuty nasuwa autorowi wymowny fakt, powtarzający się z każdą wiosną: przednówek, ograniczenie produkcji i sił roboczych po fabrykach, klęski żywiołowe i wynik ich: niedza ogółu, nad którą rozwodzimy się głośno, nie czyniąc nic, aby jej zapobiedz w przyszłości.

Oprócz wyżej wymienionego artykułu zawiera tenże numer „Z Dalekiego Wschodu,” wspomnienie z Korei, Wacława Sieroszewskiego, tłumaczenie z Arne Garborga (pisarza norweskigo) pod tyt. „W stowarzyszeniu młodzieży” i sylwetkę literacką Jana Szłafa, utalentowanego i wielce indywidualnego pisarza niemieckiego i głębokiego psychologa, opracowaną przez Zbigniewa Brodzkiego.

— W dniu 19-ym z. m. zebrał się sąd konkursowy, złożony z pp. K. Bartoszewicza, W. Jabłonowskiego, W. Rab-

skiego i M. Zawirskiego w celu rozstrzygnięcia konkursu na Pieśń Wioślarską, na który nadesłano ogółem 108 prac. Z tych wszystkich rozważano zaledwie 6 utworów, opatrzonych godłami: „44,” „Latający Holender,” „Razem młodzi przyjaciele,” „Domine non sum dignus,” „Kirkor” i „Scire nefas.” Nie wyróżniono i nie nagrodzono jednak żadnej z prac dla braku literackiej wartości lub niedostatecznej rytmiki.

Postanowiono tedy ponownie ogłosić konkurs, zwracając się z prośbą o wzięcie współudziału do wybitniejszych poetów i pieśniarzy polskich. Termin nadsyłania kompozycji do dnia 1-go Lipca r. b. Słowa do pieśni na chór męzki liczyć powinny około 20 wierszy. Nagroda w sumie 75 rubli może być przyznana w całości, lub też podzielona pomiędzy dwóch autorów.

Utwory należy nadsyłać, jak poprzednio, do kancelaryi Towarzystwa Wioślarskiego, ulica Foksal n-r 19.

Rękopisy nadesłane na poprzedni konkurs pozostają do zwrotu.

— Dnia 26-go z. m. w Warszawskim Towarzystwie prawidłowego myślistwa otwarto trzecią Wystawę psów rasowych. Okazów nadesłano sto kilkadziesiąt, w tej liczbie większość psów myśliwskich, kilkanaście z rasy St. Bernard i dogów. Wystawa trwała do dnia 29-go włącznie. Rozdano nagród kilkanaście.

— Konkurs na projekt halli targowej na placu Witkowskiego, uzyskał zatwierdzenie władzy wyższej. Halla ma stanąć na placu, obszaru 3700 m. kw. i mieścić ma 320 miejsc handlowych, licząc w to i placiki do rozprzedaży ulicznej z koszu. Kosztorys obliczono na 45,000 rub. Ustanowiono trzy nagrody: 500, 300 i 150 rub., projekty nagrodzone przechodzą na własność miasta. Komisya konkursowa pod przewodnictwem prezydenta miasta, gen. Bibikowa, składać się będzie z rzeczoznawców, jak inżyniera wojskowego Essena, pulk. Owczynnikowa, radcy St. Miłobędzkiego, stałego inżyniera miasta K. Mościckiego, budowniczego gubernialnego Piotrowskiego i budowniczych pp. B. Rogoyskiego, Wł. Marconiego, J. Dziekońskiego, inż. Lisieckiego.

— Dnia 17-go z. m. dokonano aktu otwarcia i poświęcenia czwartej Taniej kuchni na Pradze, przy ulicy Targowej pod n-r 32-im. Obiady wydawane są na miejscu i do domów po zwykłych cenach, przyjętych w Taniach kuchniach — w dni powszednie od 12—4 po południu, w niedziele i święta do 3-iej. W piątki wydawane są także obiady postne.

— Towarzystwo Pszczelnio-Ogrodnicze zapowiada do roczne 10-dniowe kursa dla ogrodników i pszczelarzy.

Program kursów (mających trwać od dnia 13-go Czerwca do 22-go t. m.) obejmuje zasadnicze wiadomości z sadownictwa, warzywnictwa, kwaciarstwa, hodowli pszczół.

Oplata za cały kurs nauk wynosi rubli 10. Zapisy przyjmuje kancelarya Towarzystwa, Wiejska n-r 12.

— Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza dwa stypendya dla osób pracujących naukowo i pragnących wyjechać za granicę dla uzupełnienia studiów. Pierwsze, imienia Sniadeckich, z fundacji ś. p. Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 5,000 franków, przyznane będzie kandydatowi, poświęcającemu się naukom matematyczno-przyrodniczym. Podania wnosić należy do Akademii w Krakowie do dnia 15-go Czerwca r. b.

Drugie stypendyum, w sumie 2,400 koron, imienia ś. p. Zenona Pileckiego, przyznane będzie kandydatowi z temi samymi warunkami.

— Staraniem Krakowskiego Towarzystwa fotografów-amatorów odbędzie się w Krakowie wystawa od dnia 15-go Sierpnia do 30-go Września r. b. W skład komitetu wchodzi z Warszawy pp.: d-r L. Anders, W. Dzierżawski, Wł. Karoli, A. i W. Orłowsy. Sędziami wystawy mianowani zostali pp.: Axentowicz, Bylieki, Czernecki, Fischer, Friedberg, dyr. Kopera, Sebal, Słotwiński i Wygrywański.

Bliższych wiadomości udziela Towarzystwo fotografów-amatorów pod adresem: Kraków, Wolska 18.

— Dnia 15-go z. m. zaczął wychodzić we Lwowie przy finansowem poparciu Wydziału krajowego, dwutygodnik „Gazeta mleczarska,” pod redakcją Zygmunta Ihnatowicza, krajowego instruktora mleczarstwa. Gazeta w programie uwzględnia wszystko, co ma związek z teorią i praktyką mleczarstwa. Roczna przedpłata wraz z przesyłką wynosi 6 koron.

— Dnia 28-go z. m. zmarł w Łodzi ś. p. Józef Texel, niegdyś artysta dramatyczny i dyrektor trup prowincjonalnych, w wieku lat 64.

— Dnia 23-go z. m. zmarł we Lwowie ś. p. Leon Cyfrowicz, ceniony pedagog, prefessor i sekretarz miejscowego Uniwersytetu.

— W Zagrzebiu przeniósł się do wieczności Eugeniusz Kumicic, powieściopisarz i dramaturg chorwacki. Powieści swoje osnuwał na tle życia Istrii i Chorwacji. Pozostawił utwory następujące: „Gospodja Sabina,” „Preko mora,” „Jelkin Bosiljak,” „Zaczudzeni svatovi,” „Sirota,” „Urota Zrinjsko-Frankopanska” i „Teodora,” z dramatów: „Sestre” i „Obiteljska tajna.”

— Dnia 17-go b. m. zmarł w Jenie znakomity historyk niemiecki Ottokar Lorenz, professor tamtejszego Uniwersytetu. Pozostawił prace: „Dzieje Niemiec w XIII-ym i XIV-ym wieku,” „Źródła do dziejów Niemiec w wiekach średnich,” „Wybór papieży i cesarstwo,” „Historia Alzacy od najdawniejszych dziejów do ostatniej doby” i in.

— Dodatek powieściowy z numeru bieżącego rozeszliśmy Szan. Czytelniczkom w przyszłym tygodniu.

Treść numeru:

Alfieri i hrabina Albany. — Pogawędka, przez A. Gliszczyńskiego. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Daremnie (wiersz), przez W. D. — Historia kobiety, studjum historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Pamięć, jej znaczenie w umysłowości i etyce, odczyt d-ra Henryka Nusbauma (ciąg dalszy). — Romans mojego życia, nowella Jokaja. — Święto dzieci i kwiatów, przez Z. S. — Z „Salonu Sztuki” S. Kulikowskiego, przez Gilberta. — Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego. — Pierwsza Wystawa sztuki dekoracyjnej stosowanej do przemysłu, przez Z. Seidlerową. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Nasz ul. — Ogłoszenia.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 34). — Przepisy kuchenne, oraz tablica krojów.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz”

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszcza.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za powyższe dzieło tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.



Poleca wyroby własnej fabryki

GRACJAN BRZEZIŃSKI

Kufry, Walizy, Nesesery, Poduszki skórzane, Obuwie płócienne oraz wszelkie przybory do podróży i sportu.
Skład fabryczny Ś-to Krzyżka 15 vis á vis Włodzimierskiej. Telefon 3462.

BIURO NAUCZYCIELSKIE
Z A Ł E S K I
Berga Nr. 8.

Rekomenduje nauczycieli, nauczycielki, bony polki i niemki. Sprowadza francuzki z własnego biura w Paryżu.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu, fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie,

Nowy-Świat № 5.

Cenniki gratis.

Telefon № 2515.



**„Nowość z sitkiem”
SUDORYN**

Ap. Kowalskiego,

aptekarska w m., Graniczna 10
POT, odparzenie USUWA świetnie zao-
szczędza odzież, obuwie. Błaszanki z sit-
kiem po 30, 50 i 90 k. Żądać wszędzie.
Strzedz się naśladownictw!

Pensjonat leczniczy dla dzieci

Julii Benoni Dobrowolskiej

w Zakopanem

Jagiellońska

w „Nieczuja”

otwarty cały rok

w Rabce

w „Stara Kolonia”

otwarty na miesiące letnie.

Najlepszy Przyjaciel Żołądka



VIN

Saint-Raphaël

poleca się jako:

toniczne, wzmacniające
i pomagające trawieniu.

Broszura D-ra de BARRE

o winie **St.-Raphaël**,

jako o pożywnym,
wzmacniającym środku

Wysłać się na żądanie.

SMIAK JEGO WYŚMIENITY.

Compagnie du vin St.-Rap-
haël Valence, Dromé,
France.

Ostrzega się przeciw podrabianiu.

W Zakopanem

(w Tatrach)

ul. Chałubińskiego I. 21 i 23 (willa własna).

LUDWIKA SZWEJGIERA

Zakład wychowawczy i naukowy

— dla młodzieży męskiej —

(Rok istnienia piąty).

Zakład zapewnia młodzieży higieniczne dostatanie utrzymanie, troskliwą opiekę wychowaw-
czą i lekarską, naukę do szkół galicyjskich lub do szkół z językiem rosyjskim. Szczególna
uwaga na zdrowie i rozwój fizyczny (gimnastyka, gry, zabawy, zajęcia ręczne — po każdej
godzinie nauki dłuższe paazy). Języki obce i konwersacja tymi. Na żądanie program wy-
czerpujący we wszystkich szczegółach. Rok szkolny rozpoczyna się 4-go września.

Na czas letniego sezonu!

SPRZEDAŻ

PIANIN w wielkim wybo-
rze bez zaliczki

25 rb.

miesięcznej rozplaty



25 rb.

miesięcznej rozplaty

C. M. SCHRÖDER



Dostawca 5 Dworów Cesarskich.

Skład fabryczny:

Warszawa,

Nowy-Świat 30, Telef. 1288.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole
i wyroby trykotowe francuzkie. Najlepszy krój koszul męzkich.

Po rb. 45, 50 i 55! Piękne Serwisy Stołowe

na 12 osób, z najlepszej porcelany ozdob. w piękne kwiaty, ręcznie malowane, lub z mo-
nogramami, składające się z następujących przedmiotów: 36 talerzy płask., 12 głębok.,
12 deserow., 12 komp., 12 par filiżanek do kawy, 12 par do herbaty, 1 waza, 4 półmiski
owalne, 2 okrągłe, 2 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 2 łyżki do sosu, 1 kabaret, lub
kosz do owoców, 2 musztardniczki z łyżeczkami, 2 solniczki, 2 maselniczki, 1 imbryk
do kawy, lub czajnik, razem 121 sztuk. **Serwisy kamienne angielskie** sztuk 83, po rb. 22,
24, 26, za dopłatą rb. 8 dodaje do serwisów komplet szkła kryształowego, szt. 86. **Serwisy**
do herbaty na 12 osób porcelanowe, pięknie malowane, od rb. 5. **Garnitury na umywal-**
nie od rb. 3.50. **Wazony** do kwiatów w ogromnym wyborze od rb. 1.50. **Kosz** do ciast,
oraz wszelkie wyroby porcelanowe, szklane, fajansowe po cenach bez konkurencyj sprze-
daje wyłącznie: **Główny skład i malarnia porcelany, szkła i fajansu.**

Proszę zwrócić uwagę na adres:

MARYAN GIRTLEK,

w Warszawie, Nowy-Świat № 22.

W numerze 21 „Bluszczu” p. t. „Do naszych Czytelniczek” było ogłoszone

O wzorach dziurkowanych do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt składający się z 7-ju arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, zabki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna secesja i t. d., lub fantazyja).

Z p. Kamińskim, który komponuje desenia dziurkowane i daje ceny zamówionych wzorów, mogą nasze czytelniczki widzieć się w Poniedziałki, Środy i Czwartki od godz. 6 do 7 wieczorem.

Kuryer Codzienny

pismo społeczno literacko polityczne.

Wychodzi przez czas wojny dwa razy dziennie.

Drukuje znakomite studium

Bolesława Prusa

Japonia i Japończycy,

oraz bardzo interesującą powieść

Michała Muttermilcha

Ż Y D Z I.

Jako premium bezpłatnie drukuje rozgłosną powieść T. T. Jeża

USKOKI.

Cena prenumeraty:

w Warszawie:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	rub. 6.—	Rocznie	rub. 9.—
Półrocznie	„ 3.—	Półrocznie	„ 4.50
Miesięcznie	„ —.50	Miesięcznie	„ —.75

Dotąd wyszły nakładem „Kuryera Codziennego” i są do nabycia następujące utwory:

Pisma **Z. Krasieńskiego**: cztery tomy w oprawie rb. 1.80. **Wincentego Pola**: „Moby”, „Pamiętniki imci pana Winnickiego” — oba utwory w oprawie k. 80. „Pachole hetmańskie” w opr. k. 80. „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego” w opr. rb. 1. **F. Norrisa**: „Octopus” 2 tomy w opr. rb. 1.20 k. **P. Adamsa**: „Syn wojaka z pod Austerlitz” w opr. k. 60. **J. I. Kraszewskiego**: „Dyabel” 2 tomy w opr. 1.60. „Morituri” 2 tomy w opr. 1.50. „Ostatnie chwile Księcia Wojewody” (Panie Kochanku) w opr. k. 60. **D’Anunzio**: „Ogień” 2 tomy 1.20. **D’Agremonta**: „Mateczka” 2 tomy 1.20. **Hall Caina**: „Wieczne miasto” 2 tomy 1.60. **K. W. Woycieckiego**: „Kurpie” w opr. k. 60 tegoż „Dworek i pałac” w opr. k. 60. „Wybór powieści nieboszczyka Pantofla” w opr. k. 80. **M. Mochnacki**: „O literaturze polskiej w wieku XIX w opr. 1.